

Fiskus na tropie „kominiarzy”

4



siedzę na obłoku
z dyplomem w garści

7



zaryzykujemy raz jeszcze
apeluje szef TWR PRON

12

Wiźnia-na

16

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

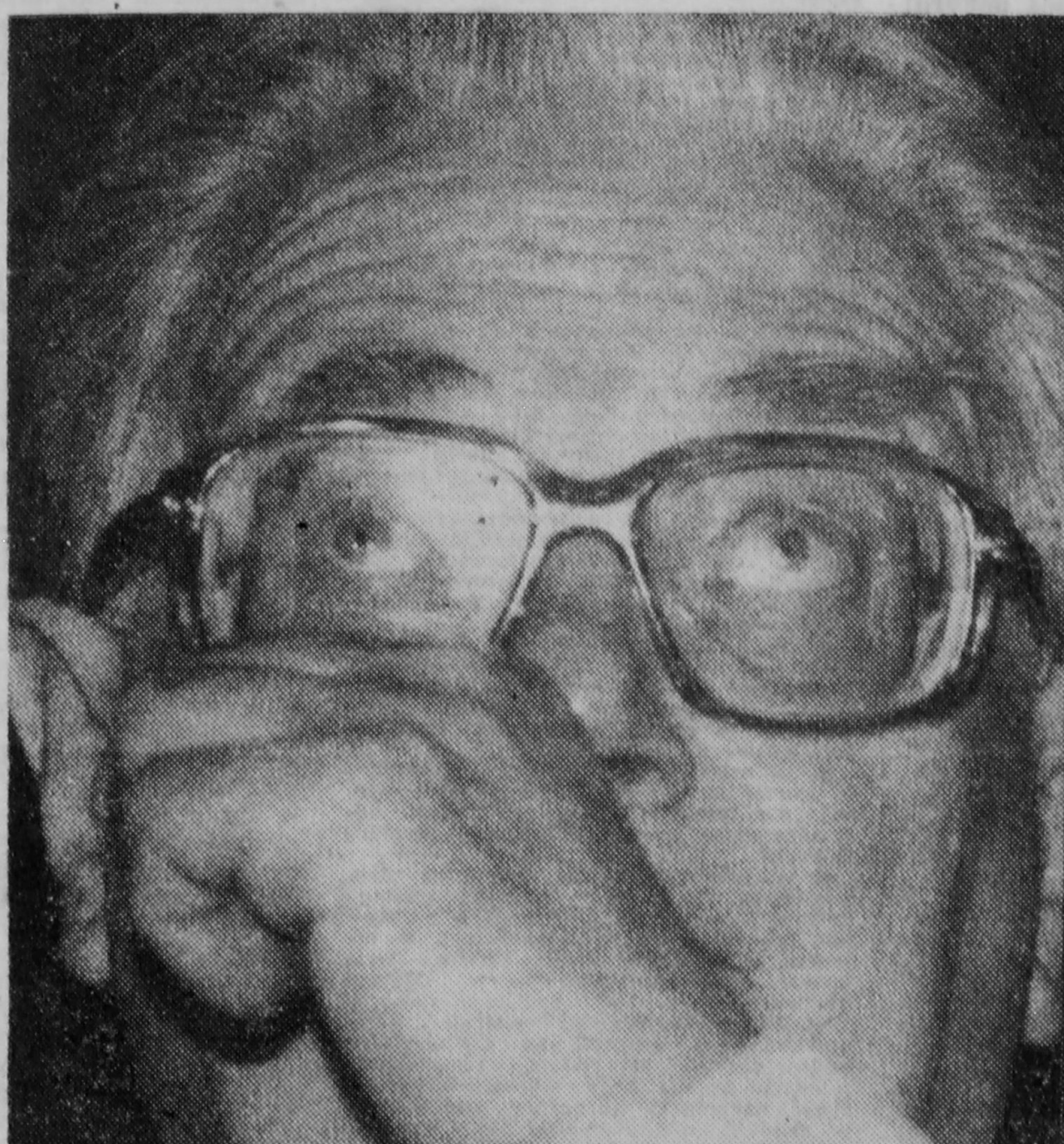


13

(128)

KONTAKTY
27 III 83 r.

**Cena
10 zł**



starcia - klub dyskusyjny Kontaktów

niezgoda buduje

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

Krytyka to — wedle uczynnych definicji — analiza i ocena pewnej wartości z określonego punktu widzenia. To — w patetycznej fazie polityków, przejmujących akurat ster władzy — arka przysięgi, opoka sprawiedliwości, ucieczka gnębionych, wspomóżenie prawdy. W potocznym zaś znaczeniu: ocena negatywna przygana, publiczna chłosta, zmycie głowy, przytarcie rogów, natarcie uszu.

Na kolejnym panelu, zorganizowanym przez „Starcia” — Klub Dyskusyjny „Kontaktów” i WOPK, na temat jej społecznej roli, kierunków uderzenia, skutkach i reakcjach, jakie wywołuje, starli się tym razem: red. Kazimierz Kozniowski, red. Zygmunt Szeliński, doc. Adam Dobroński oraz mieszkańcy woj. łomżyńskiego.

pasie współczesne

pasie współczesne

pasie współczesne

W następnym numerze: „Romen” z „Karnawalem cygańskim” w Łomży ★ „Ostry dyżur” w Zakładach Przemysłu Bawełnianego ★ „Gorzkie żale w Brzezianach” ★ przesłuchanie Edwarda Redlińskiego ★ grypsy więzienne ★ świąteczne niespodzianki ★ mocno niesamowite opowiadanie ★ duża krzyżówka ★ sport.

DOBIEGAJĄ KOŃCA przygotowania do wspólnego plenum KW PZPR i WK ZSL, które w całości zostanie poświęcone sprawie wkładu łomżyńskiego rolnictwa (prawie 70 proc. ludności to mieszkańcy wsi) do krajowego spichlerza. W tym celu członkowie KG PZPR oraz KG ZSL uczestniczyli w około tysiącu zebrań wiejskich, by poznać opinie rolników na temat sposobów osiągnięcia samowystarczalności żywnościowej województwa. Zgłoszone uwagi i spostrzeżenia staną się przedmiotem szczegółowej analizy podczas plenum. Referat programowy egzekutywy KW PZPR oraz Prezydium Instancji ZSL wygłosi prezes WK ZSL, Czesław Gartych. Spodziewany jest przyjazd sekretarza KC PZPR, Zbigniewa Michalka, oraz prezesa NK ZSL, wicepremiera Romana Malinowskiego.

ZJAZD MIEJSKO-GMINNEJ organizacji ZSL w Grabowie zainaugurował kolejny etap przygotowań do IX Kongresu Stronnictwa. Dyskutanckie wskazali m.in. na niechęć niektórych organów administracji wobec odradzających się ogniw samorządu wiejskiego. Z krytyką spotkał się również fakt nieskonsultowania z zainteresowanymi nowych zasad ubezpieczeń rzeczowych w rolnictwie. Najbliższe Zjazdy: w Grabowie, Stawiskach i Wąsosz.

PATOLOGII SPOŁECZNEJ oraz przestrzeganiu prawa poświęcone były ostatnie posiedzenia miejskich i gminnych egzektyw PZPR. Mimo coraz większej wykrywalności przestępstw ich liczba nie spada. Najwięcej zdarza się ich w Łomży i najbliższej okolicy (mieszka tu 16 proc. ludności województwa): 60 proc. rabunków i napadów rabunkowych, 40 proc. kradzieży mienia prywatnego i 34 proc. — społecznego. Plagą stały się drobne włamania do piwnic, altan i samochodów oraz niedostatecznie zabezpieczonych sklepów i kiosków. Kary wymierzane w Łomżyńskim są surowsze niż w innych województwach. W tym roku szczególnie ostre represje będą stosowane za zabójstwa, gwałty, pobicia, kradzieże z włamaniem oraz marnotrawienie mienia społecznego.

ROLNICZA WIOSNA. Dobrze weszły oziminy. W magazynach pełny asortyment nawozów — ponad 50 000 ton; tempo zakupu słabe. Nasion zbóż jarych (2500 ton) i pastewnych jest pod dostatkiem. Poprawił się skup zbóż: w ostatnim miesiącu — 3000 ton. Cena zbóż na wolnym rynku ciągle spada (1700 złotych za metr żyta, 2000 — za metr pszenicy i jęczmienia). Od 1 do 15 marca skupiono 8,5 miliona ton mleka, tj. o 34 proc. więcej niż w marcu ub.r. Wzrósł również, niski dotychczas, skup żywca: rolnicy dostarczyli ponad 8000 szt. trzody chlewnej oraz 1769 — bydła.

O OGRANICZENIU PRZETARGÓW na maszyny i urządzenia rolnicze, będące własnością jednostek gospodarki społecznej, zdecydował wojewódzki zespół ds. rozdziału sprzętu rolniczego. Do sprzedaży w ramach przetargu może być wystawiony wyłącznie sprzęt po pięcioletniej eksploatacji. Jednostki nie przestrzegające zaleceń komisji będą pomijane przy przydziałach maszyn. Decyzja ta ograniczy — i tak znikomą — możliwość nabywania sprzętu przez rolników indywidualnych, jednocześnie pozwoli na stopniowe eliminowanie bezmyślnej dewastacji urządzeń rolniczych przez upośledzony sektor rolnictwa.

STAN SZKÓŁ GMINNYCH i wiejskich, przypominających w wielu przypadkach szkolkę Antka, bohatera nowelki Bolesława Prusa, w planach inwestycyjnych Kuratorium Oświaty ulegnie tylko minimalnej poprawie. Obecnie w budowie są dwie Zbiorecze Szkoły Gminne: w Grabowie oraz Nurze. W czynnie społecznym rozpoczęto budowę ZSG w Rutkach. Tym sposobem ma również powstać kilka wiejskich szkółek. Jako główną przeszkodę w radykalnej poprawie sytuacji wiejskich szkół Kuratorium podaje brak wykonawców oraz skromne możliwości finansowe.

BUDOWANE KOŚCIOŁY — w osiedlu Jantar w Łomży oraz w Olszynie, gmina Piatnica (w planie kościół w Skarżynie Starym, gmina Zambrów) — potwierdzają fenomen szybkości i sprawności ich powstawania. Np. kościół przy ul. Wojska Polskiego w Łomży stanął w ciągu dwóch lat. Informację tę dedykujemy budowniczym łomżyńskiego szpitala. A może to ci sami?

„PEWEX” przy ul. Świerczewskiego w Łomży jest równie uczęszczanym punktem, jak sklepy złoćkowskie. Dziennie dokonuje się tutaj około 500 zakupów. Największym popytem cieszą się skóry, kożuchy (damskie: 300—350 dolarów, męskie — od 300 wzwyż) oraz dywany kosztujące poniżej 200 dolarów. Ta grupa towarów jest przeważnie pochodzenia krajowego. Małe wzięcie mają akcesoria łazienkowe. Dostatek towaru jest w dziale kosmetycznym. Klienci dolarowi są zazwyczaj mniej pokorni i czolobitni niż w sklepach przyjmujących bilety Narodowego Banku Polskiego.

CO W SKLEPACH na święta? Wydział Handlu UW informuje, że nie należy spodziewać się żadnych rarytasów. Nie będzie cytrusów. Niewielka ilość kawy (320 złotych za paczkę) pojawi się w sklepach dopiero od 28 marca. Kartki kwietniowe można realizować już od 21 marca.

NOWE CENY: benzyna — 34 złote za litr; żółta — 40. Sprzedaż w dniu zamknięcia numeru (21 marca br.) — W CPN-ie przy ul. Wiejskiej — była prawie taka sama, jak przed podwyżką. Zniesione zostały kartki na alkohol (wyraźnie spadł zakup wódek) i kawę.

III SAMOCHODOWY RAJD PAŃ na trasie Łomża—Miastkowo—Czaratoria cieszył się większym niż poprzednio zainteresowaniem. W ostrych walce zwyciężyła Elżbieta Balazy (fiat 125p, pilot: Ryszard Lipiński), drugie miejsce zajęła Barbara Brodziuk (volkswagen golf, pilot: Aleksander Wroniszewski), a trzecie — Iwona Szczerbiak (w małym fiacie, z pomocą Marty Brzozowskiej). Na próbach technicznych najlepiej spisywała się Dominika Brzóska w najatrakcyjniej udekorowanej ładzie. Najbardziej pechowym kierowcą okazała się Wiesława Piechowska, która straciła szansę na medalowe miejsce po awarii samochodu.

Nagrodę współorganizatorów Rajdu — redakcji „Kontaktów” — za dowcipny czterowiersz na temat tygodnika otrzymała Anna Chojnowska. Oto on:

„Dwaj Murzyni na pustyni
urządzili wielki bal:
nie jedli, nie pili,
bo „Kontakty” gdzieś nabyli.”

bez pardonu

UWAGA KOLNIANIE!

Ponad rok temu rozmawialiśmy z władzami Kolna o problemach miasta. Padły wyjaśnienia, deklaracje, obietnice. Teraz wracamy, by zapytać, ile z nich i z jakim skutkiem zostało dotrzymany. Spotkanie odbędzie się o godz. 16.30 w kolneńskim Domu Kultury. Wszystkich zainteresowanych prosimy o obecność lub nadsyłanie pytań pod adresem redakcji „Kontaktów” ewentualnie ich telefoniczne przekazywanie: 42-43 i 40-22.

zdanie tygodnia

Niektórym się zdaje, że prima aprilis trwa cały rok.

(rolnik o komisji, która mu wpiereg
przyznała ciągnik, a następnie odebrała)

myśl z atestem

Należy uczyć się nie na własnych czy cudzych błędach, lecz na uniwersytetach.

Antoni Czechow

fraszka na dziś

O POGODZIE

Gdyby decydowali durnie,
zawsze byłoby pochmurnie.

Jerzy Leszczyński

wieści gminne

RADZIŁÓW. W ubiegły piątek w dostawie mebli do miejscowego sklepu (pierwszej od miesiąca) znalazły się: jeden zestaw wypoczynkowy, kredens, kanapa, kilka krzeseł i fotel. Wszystko na kredyt MM. Jeśli dostawy będą przebiegały w dotychczasowym tempie, ostatnie z trzydziestu zapisanych małżeństw otrzyma meble za dwa lata; szkoda tylko, że kredyt będzie już nieważny.

Mimo że towar do sklepu z ubraniami dostarczono w czwartek, placówkę otwarto w piątek, i to z godzinnym opóźnieniem. Okazało się, że dostawę tak długo dzielono na pule: zakładową, makulaturową i do sprzedaży.

W piatkowej dostawie mięsa znalazły się zamrożone bryły wołowiny, których nikt nie dało się podzielić. Zarząd GS-u z zasady nie interweniuje w eldich Zakładach Mięsnych, ponieważ boi się stracić dostawę dobrej jakości wędlin.

Według obliczeń PZU — na pokrycie zniszczonych przez wichurę dachów potrzeba 1000 sztuk eternitu. Jego kolejna dostawa jest przewidziana na drugi kwartał.

Pogorszyła się jakość węgla dostarczanego z kopalni Siersza. Jest on smolisty i zawiera wiele miazgi, a po spalaniu pozostawia dużo żużli.

Z usługami jest niewesoło. Rolnicy nie mają gdzie dokonywać bardziej skomplikowanych napraw maszyn. W najbliższym czasie ma być otwarty zakład szklarski. Przydałby się też fryzjer, bo miejscowy mistrz grzebienia woli strzyć łomżyńskie głowy.

STAWISKI. Po dwóch latach rozpowszechniania w kraju trafiła do miejscowego kina nowa wersja filmu „Znachor”.

Według ocen pracowników GS-u — w tym roku jest największy od 30 lat wybór nawozów sztucznych. Najczęściej kupowane są różne rodzaje superfosfatu, tańszego o ok. 500 złotych od innych nawozów.

Deficyt mieszanek paszowych hamuje skup zbóż. Brakuje 150 ton mieszanek na pokrycie zobowiązań wobec rolników za dostarczone już zboże i tuczniki.

Ostatnia dostawa czterech wagonów węgla została zareklamowana. Zamiast czarnego złota przyjechało ze Śląska błoto.

ZBÓJNA. Po zebraniach sprawozdawczo-wyborczych Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych przybyło 49 młodych członków (w Zbojnie do GZRKiOR-u należy 511 rolników).

Siewki, Bieduska, Ruda Osowiecka, przeznaczyły FRK na zakup maszyn, zaś Gawrychów, Dębinki i Liski — na budowę sklepów.

Za przyczyną wojewódzkiego architekta nie udało się umieścić w planie na rok 1983 budowy lecznicy dla zwierząt. Zażądał on mianowicie, aby zwierzęta były kurowane w chacie kurpiowskiej.

W gminnej olimpiadzie oświaty rolniczej zwyciężył Antoni Kosewicz z Dębinki; w nagrodę otrzymał przydział na roztrząsacz obornika. Aby wykupić wygraną — musiał zaprowadzić krowę do punktu skupu.

19 mieszkanki Zbojnej uczestniczy w kursie krawieckim. Miejsce jest więcej, ale brakuje chętnych. Może odstrasza cena nauki: całe trzy tysiące złotych?

Mieszkańcom nie wychodzi na zdrowie fakt, że część gminy podlega ZOZ-owi w Łomży, a część — w Kolnie. Kiedy zabrakło stomatologa w ośrodku w Dobrym Lesie, trzeba było jechać do „najbliższego” w Małym Płocku.

NOWOGRÓD. Wyniki kontroli kompleksowej w gminie: na 67 zezwoleń budowlanych w 1982 r. zrealizowano zaledwie 5; nie były respektowane decyzje naczelnika dotyczące porządków w miejscie. Nie prowadzi się kontroli czystości w ani działalności oświatowej; w sklepach brakuje podstawowych artykułów (papierosów „Popularnych”, musztardy, płatków); do 15 marca gmina wykonała plan skupu zbóż w 19 proc.; w ilości sprzedanych nawozów zajmuje ostatnie miejsce w województwie; wyższy ma od średniej wojewódzkiej skup żywca. Za to niższy skup mleka; zobowiązano naczelnika aby zalegalizował działające w gminie zakłady rzemieślnicze i przekazał GS-owi prowadzenie sprzedaży sterylizacji. Mimo zastrzeżeń komisja stwierdziła, że administracja Nowogrodu jest sprawniejsza niż przed trzema laty.

punkt widzenia

Już tylko tydzień dzieli nas od obrad wspólnego Plenum KW PZPR i WK ZSL, poświęconego problemom łomżyńskiego rolnictwa. Nasz rekonesans we wsi Pniewo w gminie Łomża odnotowuje oczekiwania, nadzieje i obawy mieszkańców wsi.

Stanisław Tyszkowski. — Obawiam się, czy podatki, o których zaczyna się mówić coraz głośniejsze, nie doprowadzą do tego, że wielu będzie opuszczać pracę, a ich schedy nachodzić zaczęły komornicy stosując zasadę: nie dałeś, więc trzeba to z ciebie wydusić. Bo czy tobie chłopie źle, czy dobrze, to państwo musi mieć, żeby wyżywić miasto. Do sklepu już co najmniej drugi rok nie dowożą widel, lemmiesz. Mieszkańcy Pniewa muszą jeździć po nie aż do szepietowskiej składowicy.

Barbara Borawska, kierownik sklepu: — Mówią nam w GS-ie, że muszą dawać lemmiesz i żeby do bron do „żelaznego” w Gaciach i ta odpowiedź zatyka. Z początku narzekali we wsi na mnie, że nie dostarczam, nie załatwiam, ale w końcu uwierzyli, że wina leży w GS-ie. Ostatnio jakby się przyczynili, bo tylko popatrzą na pustą półkę po częściach do bron, siewników, plugów, proszą o chleb i wychodzą.

Jan Sienkiewicz, rolnik na 17 hektarach: — Gospodarowanie na razie się opłaca. Nie za duże podatki. Można wziąć trochę grosza za tucznika, za mleko. Sprzedam w zeszłym roku mleczarni 10 tysięcy litrów, oddałem do punktu skupu prawie 10 ton żywca. Ludzie może i uwierzyli by w to, że coś u nas drgnęło, gdyby nie te drobniaki, których nadal brakuje. Przepaliła się spirala do parnika na 150 litrów; stoi już bezużyteczny. Szlag człowieka trafia, bo inne rzeczy produkują, większe, droższe, a tych części zamiennych nadal ani na pokaz. I tyle się już o tym mówiło — w Sejmie, w partii, Stronnictwie. Boję się, że będziemy mieli zapis w Konstytucji, że nasze gospodarstwo jest trwałe, nienaruszalne, a w sklepach i na składnicach nadal niczego nie kupimy. Miałby już przestawić się na produkcję części zamiennych niektóre zakłady pracy. Gadania było dużo, a jakoś efektów nie widać. Oczywiście, podzielam zdanie władz, że rolnik powinien dbać o to, by jak najwięcej dostarczać państwu, ale państwo powinno też zadbać o elementarne przynajmniej interesy rolnika.

Jan Bielicki, rolnik na 12 hektarach: — Mnie to już nic nie obchodzi, bo mam rentę inwalidzką, ponad 70 lat na karku. Schede jeszcze trzymam, bo żona nie ma renty, ani emerytury. Niedługo przekaze je dzieciom, niechaj się martwią. Ja powiem jedno: ten rolnik może brać się za gospodarowanie, który ma już komplet maszyn i jako takie budynki, bo budować się teraz, czy próbować kupić coś ze sprzętu, to tylko mrzonki. Tyle się trzeba nabiegać, naprosić.

Czesław Piętkowski, rolnik na 14 hektarach: — Płacimy ponad tysiąc złotych na Spółkę Wodną, a na łakach nadal nic się nie robi. Może jest gdzieś jakiś czarodziej, który ma na nią jakieś zaklęcie, aby się wzięła do roboty. Inna kwestia: naprawdę boję się nowych podatków, bo u nas tak jest: jeśli robia komuś przywileje, to aż tonie w dobrobycie, a jak dokładają, to aż ledwie zipie.

gość li w Łomży

Stanisław Mienkowski — członek sekretariatu NK ZSL, Grupa dziennikarzy, przedstawiciel Tymczasowego Zarządu Głównego SD PRL, z zastępcą redaktora naczelnego „Ekspresu Wieczornego”, Janusz Wasilewski, która przybyła w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca do pracy twórczej i wypoczynku dla żurnalistów.





Tak spędziły swoje święto panie z Klubu Seniora przy świetlicy Łomżyńskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, bawione przez małych artystów z Państwowego Domu Dziecka w Łomży, zespół dziecięcy przy świetlicy ŁSM i przez grupę folklorystyczną, która zaprezentowała kurpiowskie miodobranie.

Za rok pojedziemy do Pniewa i innych miejscowości, skąd napłynęły zaproszenia.



mój wspaniały Dzień Kobiet

6 marca

Dostaję pocztówkę od syna. „Kochana Mamusiu i Droga Siostrzyczko — z okazji Dnia Kobiet...” A to bestia! Z takiej okazji nie stać go na dwie pocztówki i dwa znaczki (córka mieszka o cztery ulice dalej). Trudno. Pośpiesznie się zastanawiam, komu ja mam złożyć życzenia. Tak: matce — staruszce. Córce? O, nie! To ja jestem bardziej kobietą.

7 marca

W pracy cisza. Tylko pocztą poszły zaproszenia do Pań-emerytek na spotkanie. W domu mój Pan i Władca wspomina mimochodem mrucząc pod nosem: — Ciekawe, co ja dostanę jutro w prezencie? Nie reaguję. Moje uszy przyzwyczyły się nie wchłaniać głęboko pewnych słów.

8 marca

Wstaję o 5.00. Pieczeniowicie pracuję nad makijażem. Przecież to mój dzień! Mój: kobiety, matki, żony, kochanki, kuchty tyrające przez 20 lat dla potrzeb kraju, dla potrzeb domu, wychowującej dzieci, piorącej, sprzątajacej, gotującej, stojącej w kolejkach, dbającej o każdy kwiatek, guzik, robiącej na drutach i jeszcze działającej społecznie! Nie mam czasu pójść do kina, na spektakl teatralny czy estradowy. O dancingu już nie wspomnę. No, tego dnia to ja sobie...

Wychodzę o 6.30. Mój Pan i Władca, gad jeden, śpi — albo udaje, że śpi. Trudno, może mu za wcześnie na czułości świąteczne.

Idę na przystanek zdziwiona. Takie święto, raz w roku i to międzynarodowe, a nie się nie dzieje. Nie dzwoni dzwony, nie gra orkiestra strażacka (a to oni przecież zrywają się na każdy „wybuchowy” przypadek), nie widzę uśmiechów na twarzach panów. Mijają mnie obojętni, zamyśleni o swoich męskich problemach (i po co ten wysokowy makijaż?). Kobiety? Zwyczajne; jak zawsze — stojąc na przystanku, spoglądają na zegarki i wyczekują na „czerwoniak”. W autobusie, jak zwykle, stoją; żaden siedzący pan nie dostrzega, żem KOBIEȚA, i to w pełnej krasie, mająca dziś „ust korale”, niebieskie powieki, nie mówiąc o — w przeddzień zrobionych — blond lokach.

Wchodzę do moich gabinetowych czterech ścian, siadam za biurkiem i zastanawiam się, czy dzisiaj dostać „zryw” szaleńczego tempa, czy trochę poluzować. Luzuję — raz w roku. Mijają dwie godziny; nic się nie dzieje. Wreszcie wchodzi jeden z szefów z piśmkiem w ręce. — Pani to przepisz w egzemplarzach. O, przepraszam — podaje mi wolną rękę. — Wszystkiego najlepszego! To nie takie pilne, ale dzisiaj chciałbym wysłać.

Myślę: dobrze, że ktoś pamięta przynajmniej przy okazji służbowej.

Następnych trzech panów jakby nigdy nic. Czwartego sama nagabuję: — Tak bez kwiatka? Ale dobrze, załatwię. — Ten, tego, tak jakoś... — bąka i wychodzi.

Siedzę spokojnie sama dalej i pracuję (na wolniejszych, jak postanowiłam, obrotach), starając się o anielski uśmiech dla klientów.

Godz. 13.00. Do pokoju zagląda koleżanka z naprzeciwnika dzierząc coś

pod pachą. — Przejdzie pani do socjalnej, dają prezenty.

Przeszłam. Pani socjalna uśmiechnięta (uśmiech taki jakiś, pełen żenady). — Żaden pan, niestety, muszę sama... Dostajecie, panie, po jednej sztuce majtek, sztuce pończoch, ale elastycznych, po mydelku i szamponie. Proszę podpisać.

Podpisuję ten słodki podarunek. Majtki, pończochy — rarytas! Wracam za biurko. Rozmyślam i wreszcie coś we mnie krzyczy. Krzyczy tak do 15.00.

Kochani szefowie, mężczyźni! Te majtki nie zastąpią Waszych miłych, ciepłych słów; kilku tylko, ale innych niż co dzień. Niczego więcej od Was nie chcemy. I niech tym słowom towarzyszy uśmiech nie dyktorski czy kierowniczy, lecz całkiem zwyczajny. Panowie, spojrzcie! To my, kobiety, nie automaty-robotnice. W najlepszych kreacjach dzisiaj, makijażach, zdziwione — dla kogo i po co?

A miałam nadzieję, że chociaż dzisiaj usiądziemy wszyscy razem (choćby tylko przy herbacie), spojrzymy na siebie inaczej, poplotkujemy z półgodzinki o innych problemach niż zawodowe, oderwiemy się od maszyn, sumatorów, cyfr, druków, papierzysk...

Wracam do domu. Myślę: może tam...

Mój Pan wrócił już z pracy, siedzi nad gazetą. Nie widzę kwiatka, ale za to — w korytarzu pudełko. Serce bije mi mocniej. Podnoszę wieko: męskie buty!

Idę zrezygnowana do kuchni. Mój Pan wchodzi za mną.

— Kupiłem wreszcie sobie buty, a tu masz pieniądze na zakupy.

Podnoszę nieśmiało oczy i coś tam bąkam o kwiatku. — Och, wymyśliły sobie jakieś święto — słyszę.

Udaję się do sklepu. Nie daruję! Kupię sobie wino i się upiję! Ot, co! Podchodzę do blaszaka. Cóż za widok! Tylu panów pod płotami oblewających nasze święto piwem, winem! W kolejce kilku mężczyzn. Stoję potulnie. Oni — podpici i niecierpliwi krzyczą, poganiają ekspedientkę, umawiają się na męskie libacje. Dwóch, dobrze już pod datą, wciska się bez kolejki. Stojąca za mną Pani zwraca uwagę. — Co, że my bez kolejki? Ach, prawda, dzisiaj macie pierwszeństwo. Duża buźka! — Jeden zatacza się na mnie. Wychodzę bez wina.

W domu posprzątałam, ugotowałam, przeprałam, położyłam się i zerkałam w telewizor. Generał Jaruzelski spotkał się z robotnikami którejs tam fabryki, ścisnął dłonie. Ale ze wszystkimi spotkać się nie może! Tylu panów jest w Łomży...

Zasypiając pomyślałam jeszcze: Może tylko ja nie jestem zadowolona? Ale dlaczego w pracy, na ulicach nie widziałam radości tego dnia w oczach innych kobiet. Może ten dzień jest niepotrzebny i nie należy się nam?

Trzeba się wyspać. Jutro znów kierat w pracy i w domu. Zepsuło się żelazko, nie skończona czapeczka na drutach, co kupię na obiad, gdzie przesyłję koszulę, skąd wezmę żarówki, bo ciemnowo...

MARIA DANUTA KOBYLARZ
Fot. GABOR LÖRINCZY

reminiscencje



jedzie ku lepszemu...

NINA OMELCZENKO: — Przekonanie, że każda reorganizacja niesie poprawę, jest w społeczeństwie mocno nadwątlone. Jak uzasadniłby Pan zmiany w aparacie finansowym?

WITOLD STALEWSKI, dyrektor Izby Skarbowej w Łomży: — Cel był jeden: usprawnienie poboru środków pieniężnych do budżetu Państwa oraz budżetów terenowych. Nie jesteśmy zupełnie nową instytu-

Na początku br. zostały dokonane zmiany w organizacji aparatu finansowego: powstały izby i urzędy skarbowe, zmienił się zakres kompetencji wydziałów finansowych. Czy reorganizacja była celowa, na ile okaże się pomocna w uporządkowaniu działalności finansowej? Na generalne wnioski jest za wcześnie, ale już dziś opinie finansistów na ten temat są wyraźnie podzielone.

cja. Izba Skarbowa, w której pracuje około 50 osób, powstała z połączenia Wydziału Zamiejscowego Zarządu Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej oraz części Wydziału Finansowego Urzędu Wojewódzkiego. Interesują nas dochody w jednostkach gospodarki społecznej i nieuspołecznionej, z wyjątkiem podatków wiejskich oraz podatków i opłat terenowych. Te sprawy pozostały w kompetencjach terenowych organów administracji państwowej.

N.O.: — Kto jest waszym bezpośrednim zwierzchnikiem?

W.S.: — Minister Finansów. My natomiast koordynujemy i nadzoru-

tej kwoty, ale po jej przekroczeniu procenty wzrastają.

N.O.: — Nazywa się was żartobliwie policją finansową. Czy rzeczywiście robicie wszystko, by wytropić każdego „milionera”?

W.S.: — On sam zobowiązany jest złożyć oświadczenie o wysokości dochodów.

N.O.: — A jeżeli „zapomni”?

W.S.: — Przypominamy mu o tym, a w ostateczności stosujemy przepisy z ustawy karno-skarbowej.

N.O.: — Lub kierujecie wnioskiem

Urzędu Skarbowego w Łomży: — Zakłady, do których zwróciliśmy się o sporządzenie wykazów takich pracowników, nadesłały listę z blisko 5000 nazwisk.

N.O.: — To niemało!

H.L.: — Chwileczkę, więcej było roboty, niż to warto. Kiedy rozznaczaliśmy się w każdej pozycji, wybraliśmy ledwie 59 kandydatów, i to wątpliwych. Myślę, że skończy się na kilkunastu nazwiskach. Jako ciekawostkę mogę podać, że jest wśród nich prawdziwy kominiarz...

N.O.: — Dlaczego to grono się skurczyło?

H.L.: — Prawda jest taka: w ustawodawstwie finansowym jest bałagan; to nie tylko moja opinia. Od trzydziestu kilku lat nie możemy dorożyć się spójnego systemu podatkowego. Aktualnie obowiązują kilkanaście przepisów rozrzuconych, w dodatku, po różnych aktach normatywnych; nie ma jednolitego klucza. Stąd np. takie sytuacje: w jednej branży dodatek funkcyjny jest wliczany do poborów, w innej nie; jeżeli ktoś przekracza, i to znacznie, próg zarobków, ale akurat się buduje, ma dodatkowe ulgi; jeżeli artysta zarobi nawet kilka milionów rocznie, i tak żadne wyrównawcze podatki go nie dotkną: płaci tylko od tego, co wyda, bo traktuje się te dochody jako zabezpieczenie środków na starość. Albo weźmy środowisko lekarskie: dyżury w pogotowiu nie są w ogóle wliczane do puli obejmowanej przez podatki, jakby tę pracę wykonywał inny człowiek; jeżeli małżeństwo prowadzi prywatny gabinet, nie bierze się za podstawę sumy zarobków, jakby nakazywała logika, lecz traktuje się małżonków jako dwie niezależne rodziny. Od wielu lat czekamy na ustawę porządkującą te wszystkie paradoksy.

N.O.: — Utworzenie Izby Skarbowej i jej agend ma właśnie „usprawnić pobór środków pieniężnych”!

H.L.: — To jest bicie piany, a nie żadne efekty. Rozumuję chyba logicznie: jeżeli jest jedno państwo, to powinien być i jeden tor działalności fiskalnej. A u nas rozbiła się go na dwa niezależne; przecież to właśnie wprowadziliśmy od 1 stycznia br. Teraz dzwoni np. doświadczona księgowa z prośbą o radę, bo się „zgubiła”: czy tzw. podatek od furmanstwa za przewóz węgla ma od prowadzić do nas, czy do Wydziału Finansowego? Bo przecież dla finansisty furman furmanowi nierówny: jeżeli jest to robotnik, obowiązują jedne zasady, a jeżeli pracownik jednostki uspołecznionej — inne.

N.O.: — Trudności może więcej, ale za to koszty utrzymania aparatu fiskalnego się zmniejszyły...

H.L.: — To chyba żart? Koszty nie zmalały, a biurokracja się rozrosła: przybyło kierowniczych stołków, sekretarek, kadrowych. Nie mówiąc o tym, że aparat finansowy rozdzielono chyba również po to, by sam się pozagryzał. Czy nie lepiej było skierować energię na uporządkowa-

nie przepisów? Aż wstyd się np. publicznie przyznać, że dosłownie do wczoraj nie mieliśmy jasnych zasad rozliczania agentów. Może za 3—5 lat życie samo zweryfikuje te błędy i zabierzemy się do kolejnych zmian: łączenia tego, co akurat rozdzieliliśmy.

N.O.: — Na bliższą przyszłość nie ma Pan bardziej optymistycznych wizji?

H.L.: — Poziom 204 tysięcy dotyczy wyłącznie zarobków za rok ubiegły. Na bieżący natomiast planuje się podniesienie tej kwoty do ponad 300 tysięcy. Przeliczyliśmy dla rozrywki, korzystając z opublikowanych danych o zarobkach członków rządu, że wówczas od podatku wyrównawczego „wymigałby się” nawet premier!

NINA OMELCZENKO: — Jednym z głównych „udziałowców” w aparacie fiskalnym jest również Wydział Finansowy Urzędu Wojewódzkiego. Czym się zajmujecie?

HENRYK KOCHAŃSKI, dyrektor Wydziału Finansowego UW: — Czuwamy nad prawidłową realizacją budżetu: wydatkami i wpływami, kontrolujemy gospodarkę w jednostkach i zakładach budżetowych, jak muzea, zbiorcze szkoły gminne, terenowe urzędy administracji państwowej; nadzorujemy wymiar i pobór podatków od gospodarki rolniczej i terenowej.

N.O.: — Czy dojrzał Pan pozytywny w reorganizacji?

H.K.: — Zależy od której strony patrzeć. Pozytywne jest na pewno to, że aparat fiskalny znalazł się w jednym pionie: Ministra Finansów Poznała to przecież na daleko idącą specjalizację „podatkowców” a z tego (jako finansista) powinienem być zadowolony. Nieobce są mi jednak i opinie nieprzychylnie organa administracji państwowej zostały praktycznie pozbawione wpływu na poszczególne działy gospodarcze — rzemiosło, usługi, handel, zgodnie zresztą z ogólną zasadą, że rządzi tylko ten, kto dysponuje środkami.

N.O.: — W czym Pan widzi osłabienie władzy terenowej?

H.K.: — Obecnie naczelnik planuje dochody budżetowe (wpływy podatkowe) prawie w ciemno. Nie ma przecież rozeznania co do ich realności ani możliwości ingerowania, gdyż nie wie nawet tego, w jakiej wysokości i komu owe podatki zostały naliczone. Dostaje raz na kwartał fundusze, które wpłaca mu rzemieślnicy z jego terenu, i musi mu to wystarczyć. Nie może również umorzyć np. właścicielowi zakładu usługowego podatku czy choćby sprawdzić prawidłowości naliczeń. Mało tego: nie ma praktycznie prawa nawet wnioskować o coś takiego. Dopatrywałbym się więc w tej organizacyjnej zmianie wyraźnego osłabienia administracji. Trudno byłoby mi jednak stwierdzić czy był to cel zamierzony.

NINA OMELCZENKO
Fot. TADEUSZ SZWED

fiskus na tropie

kominiarzy

jemy pracę jednostek nam podległych, urzędów skarbowych. W województwie jest ich pięć: w Łomży, Zambrowie i Grajewie.

N.O.: — Jest Pan przekonany, że reorganizacja poszła we właściwym kierunku; czy nie należałoby raczej połączyć aparatu fiskalnego w jeden organizm?

W.S.: — Moim zdaniem posunięcie było słuszne, bo wreszcie w całym kraju będzie obowiązywać jednako- wa polityka finansowa.

N.O.: — Pobieracie też podatek wyrównawczy od dochodów. Kogo on dotyczy?

W.S.: — Płacą ci, których dochody roczne przekraczają 204 tysiące złotych. Jeżeli jednak w rodzinie jest np. niepracująca żona, ten górny pułap podnosi się o 30 tysięcy, a jeżeli są jeszcze dzieci — o 15 tysięcy na każde z nich.

N.O.: — Nadwyżka ta może wynieść 5 tysięcy, ale i milion złotych. Od wszystkich bierze ten sam procent?

W.S.: — Nie, obowiązuje zasada progresji; np. przy nadwyżce 24 tysięcy płaci się tylko 10 procent od

do sądu za okradanie państwowej kiesz?

W.S.: — Tego się raczej nie praktykuje, bo mamy wiele innych możliwości egzekucyjnych.

N.O.: — Jeżeli sprawa ukrywania wysokości dochodów wyjdzie na jaw dopiero po dłuższym okresie, de'ikwent ma prawo do „amnestii” czy nie?

W.S.: — Niestety, ma.

N.O.: — Ile osób w Łomżyńskim będzie płacić podatek wyrównawczy za rok ubiegły?

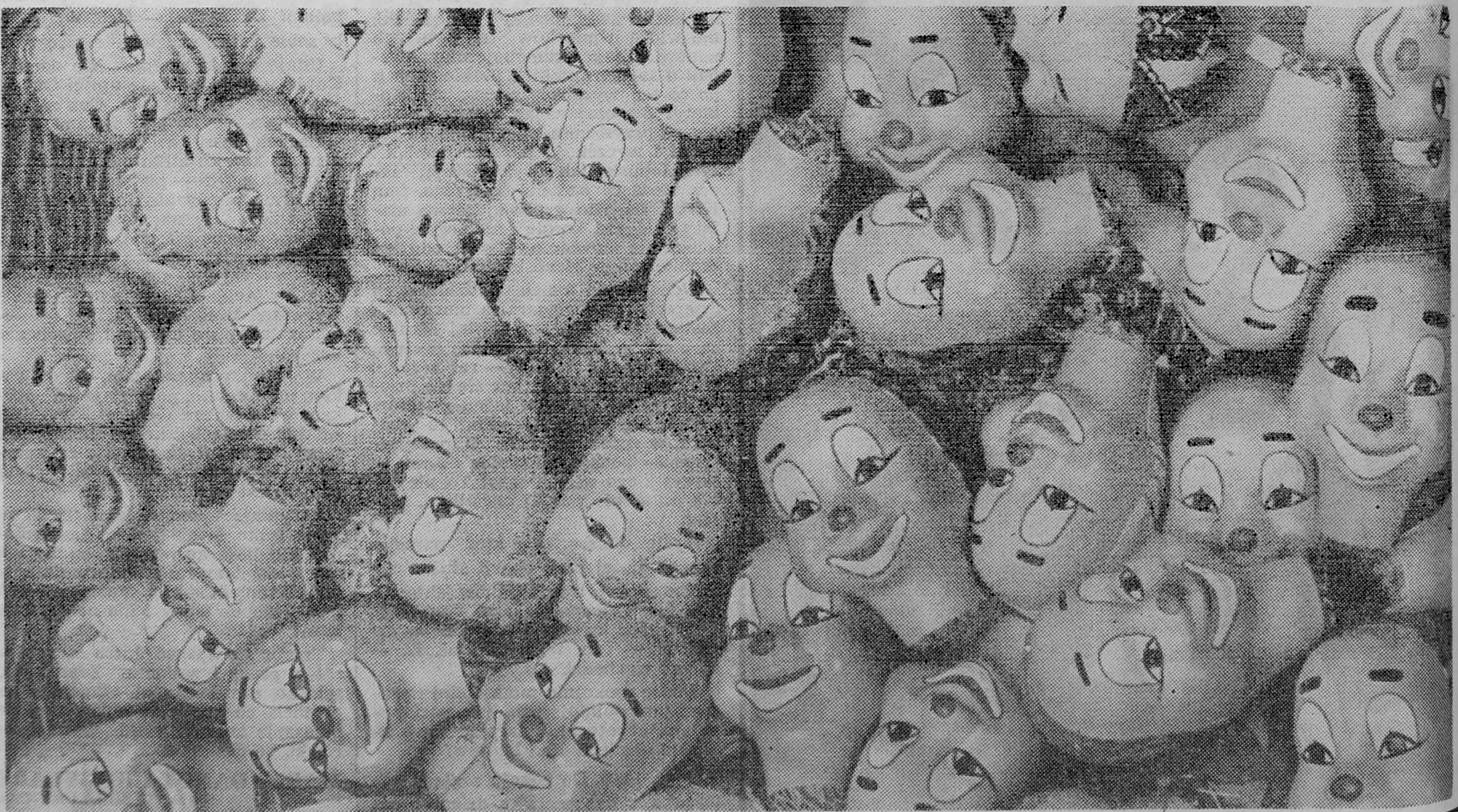
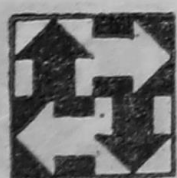
W.S.: — Nie potrafię odpowiedzieć, gdyż nie otrzymaliśmy jeszcze sprawozdań z urzędów skarbowych, a to one ściągają podatki. Proszę tam zasięgnąć informacji.

...na furmańskim wózku

NINA OMELCZENKO: — Ilu „kominiarzy”, czyli osób płacących podatek wyrównawczy, macie w swych rejestrach?

HENRYK LEBKOWSKI, pracow-

reforma z bliska



bez winy

DANUTA WRONISZEWSKA

— zaczynało się zakażenie popo-
łowe.

Czuła się coraz gorzej, a mimo to zabierała matce wzywania pogotowia. Wiedziała, że szpital jest dla niej jedynym ratunkiem, ale i poważnym niebezpieczeństwem. Dlatego też znalazła się w nim dopiero wtedy, gdy każda następna godzina zwłoki mogła już oznaczać najgorsze. Przyjaciółka załatwiła jej leżnicę w innym mieście. Nikt jej tam nie znał, nie musiała się więc obawiać ludzkiej dociekliwości.

Mniej więcej w tym właśnie czasie zginęło z kredensu ciało noworodka: ktoś je zakopał. Prawdopodobnie ktoś z rodziny, trudno bowiem przypuszczać, by chora Krystyna mogła sama wykopać głęboki dół w zamrażniętej ziemi. Prawdopodobnie, bo jest to tylko jedna z możliwych wersji wydarzeń. Prawdziwą zna Krystyna. Ta jednak nie może jakoś, przynajmniej na razie, zdecydować się na ostateczną. Najchętniej zresztą milczy.

Rozmawiałam z nią dwukrotnie. Telefonicznie. Dwukrotnie kończyło się na obietnicy spotkania. Zawsze potem znalazł się jakiś wykręt: ktoś zachorował, zapomniiała, trafił się pilny wyjazd. Nie mam wątpliwości, że starała się uniknąć nieprzyjemnych zwierzeń. Tym bardziej że na razie Prokuratura nie ma podstaw, by sformułować wobec niej akt oskarżenia. I nie wiadomo, czy będzie je miała. Zależy to od wyniku sekcji zwłok dziecka, a tego, choć mijają już dwa miesiące, Akademia Medyczna w Białymstoku ciągle nie nadsyła.

Krystyna będzie się tłumaczyła przed prokuratorem jedynie wtedy, gdy medycy stwierdzą, iż dziecko urodziło się żywe. Ale i na tę ewen-

Sen z powiek spędza mi myśl o tym, co zrobiła koleżanka z oddziału dziecięcego. Koleżanka, oczywiście, tylko dlatego, że jest również pielęgniarką, bo właśnie uważam ją za morderczynię — zwieryła się w grudniu pani N. — Gdy zaszła w ciążę, ukrywała ten fakt. Sądziłam, że jako panna nieco się krepowała i obawiała się zbytnej ciekawości koleżanek. Okazuje się jednak, że w siódmym czy ósmym miesiącu ciąży sama sobie wywołała poród przy pomocy odpowiednich środków farmakologicznych. „Operacja” nie bardzo się jej powiodła, gdyż po jakimś czasie znalazła się z krwotokiem i zakażeniem w szpitalu, w innym mieście. Uratowano ją i teraz wróciła do pracy. Gdzieś jednak podziła się dziecko. Nie zamotowano jego istnienia ani wśród żywych, ani wśród zmarłych. Czyżby nikt z lekarzy tym się nie zainteresował? Przecież obowiązuje ich etyka zawodowa... Bo jeśli specjaliści od ginekologii nie poznali, że kobieta była po porodzie, to co oni robią w szpitalu? Nie mogą pogodzić się z tym, że dyktanci opiekują się chorymi, ani z tym, że pielęgniarka może bezkarnie zabić swoje dziecko, a znajomi lekarze i pielęgniarki ukryją zbrodnię za parawanem milczenia.

Ten głos nie był osamotniony, a sygnały na temat zbrodni dotarły nie tylko do redakcji; w trzy tygodnie później we wsi, w której mieszkała matka i rodzeństwo Krystyny Baranowskiej, zjawiała się milicja. Znalazła zakopane w stodole, ciało noworodka, nagie, nie owinięte nawet w jakąkolwiek bodajby najlżejszą, szmatę.

W ponurym nastroju jechałam do rodzinnej wsi Baranowskiej, aby porozmawiać z Krystyną. Przeczulałam, że rozmowa będzie trudna; dziewczyna mog-

to iść na siano”, a młodzi twierdzą nawet, że „chyba poszłaby z każdym, kto by z nią lepiej pogadał”.

Może jednak nie z każdym, bo jej przyjaciele są ludźmi zamożnymi lub bardzo zamożnymi. Nie znać to jednak, że Krystyna wybierała ich wedle portfela. Sama zarabiała nieźle — 13 tysięcy podstawowego wynagrodzenia, a to, nawet w dobie inflacji z reguły wystarcza na potrzeby jednej osoby. Bywało raczej odwrotnie: Bogdan, na przykład, nie krepował się z wizytami, gdy do Baranowskich przychodziły zagraniczne paczki z ciuchami. Wybierał sobie „pasowne” dzinsy, modną koszulę czy sweterek. A gdy było świąteczne, zjawiał się często z żoną notabene: serdeczną przyjaciółką Krystyny. Trudno przypuszczać, by nie słyszała ona o romansie Bogdana i Krystyny, ale może bardziej niż plotkom wierzyła słowom męża i koleżanki. Czego się zresztą nie robi dla dobra rodziny i dostatek egzystencji?

Sielanka, gdy trwa zbyt długo, zaczyna nużyć i nudzić. Pragnie się wtedy jakiejś zmiany, niekoniecznie nawet na lepsze. Krystynie pewnego dnia zamarzyło się zamążpójście i „godziwe życie”. Bogdan wprowadził o ożenku przebąkiwał, ale — póki co — mocno trzymał się żony i dzieci. Krystyna zastosowała więc ograny chwyt na „owoc miłości”. Sądziła, że skrytykuje to uczucia lubego i przyspieszy jego decyzję. Zanim ostatecznie stało się jasne, że nie „złapie” oficjalnego ojca dla dziecka, które szybko wzrastało w jej łonie, na legalne usunięcie — zbędnej już — ciąży było o wiele za późno.

Za macierzyństwem jako takim Krystyna nie tęskniła. Swój odmienny stan ukrywała (z powodzeniem) nie tylko przed znajomymi. Nie zgłaszała się też na badania



ła przeżywać ciężkie chwile rozpaczy obaw, wyrzutów sumienia

Zaskoczenie moje było kompletne: ujrzałam ją uśmiechniętą, tryskającą życiem. Wycofałam się; niechętnie było przerywać jej wesołego szczebiotania z gośćmi. Udałam się do siostry.

— O Krystynie słyszałam, proszę pani, słyszałam... — starszka pośpiesznie nakreśliła znak krzyża w powietrzu; potem drugi. — Ale ja w to nie wierzę. Ona nie mogła tego zrobić. Nie mogła! Znam ją od dziecka.

Kobieta zdawała się instynktownie odrzucać brutalną prawdę. Przecież i ona ma niezamężną córkę w wieku Krystyny; gdyby jej Kazia któregoś dnia, nie, niemożliwe.

Ktoż we wsi nie znał Krystyny? Miał ją, uczynną dziewczynę. Nawet do nauki jej gonić nie trzeba było. Szkołę pielęgniarską skończyła już z dziesięć lat pracując w mieście, a do domu zawsze przyjeżdżała w polu pomoże. Nic a nic nie zardziła, nie spała.

Choć nie można powiedzieć, żeby miało jej wcale nie zmienić. Starsi powiedzą, że „wdawała się w niepotrzebne romanse”, nie krepowała się przywieźć do domu żonatego; matce powiedzieć, że jak w mieszkaniu spać im nie pozwala-

kontrolne. Myślała raczej nad tym, jakby się od uciążliwego kłopotu uwolnić. Być może próbowała rozmaitych sposobów, aż któryś poskutkował; być może zdarzył się jej rzeczywiście przedwczesny poród. Faktem jest, że dziecko sporo przed terminem i dość gwałtownie zdecydowało się przyjść na świat rozrywając przy tym matczyne łono.

Krystyna twierdziła potem, że w ten energiczny sposób, bez niczyjej pomocy, rodził się płód nieżywy. Jest to, oczywiście, jedna z jej wersji. Tu i ówdzie opowiada bowiem, że owej nocy twardo spała po zażyciu silnych środków uspokajających i... nie zauważyła, kiedy urodziło się dziecko. Nie wiadomo więc, na ile świadomie odcinała pepowinę. Nie wiadomo też, dlaczego jej nie zawiązała. Jeśli nie trzepnęła noworodka w pupę, to zapewne dlatego, by nie niepokoić hałasem domowników.

Ci, oczywiście, nie zauważyli niczego podejrzanego, tymczasem płód przez dwanaście dni leżał na półce w kredensie. Wypłynęły z niego wszelkie soki. Ciało wyschło, niemal się zmumifikowało. Z niedoszałej natki natomiast lała się krew: połowa łóżyska pozostała wewnątrz

tualność może ona znaleźć uniewinniające, wiarygodne wytłumaczenie. (Nie wyłuszczałam tych medycznych prawnych detali, by nie dawać broń do ręki potencjalnym dzieciobójczyniom). A wtedy wszystkie te wątpliwości: czy kobieta — szczególnie rodząca po raz pierwszy — która pragnie dziecka, unika szpitala i wszelkiej fachowej pomocy, tak w czasie porodu, jak i po nim; czy pielęgniarka mogłaby nie wiedzieć, że noworodkowi trzeba zawiązać pepowinę, dlaczego ukrywała fakt urodzenia dziecka, kłamała w szpitalu, że wychowuje się ono szczęśliwie w domu? — pozostaną tylko wątpliwościami. Nie zmieni ich w argumenty nawet największe oburzenie i najszczerze przekonanie sprawiedliwych. Bo przekonanie, choćby najmocniejsze, nie zastąpi dowodów, a póki ich nie ma — dziewczyna jest niewinna.

Przyznaję jednak w duszy rację tym, którzy uważają, iż bywają przestępcy budzący więcej współczucia i zrozumienia niż troszczące niemoralna, lecz „niewinna” Krystyna.

Imiona i nazwiska bohaterów tekstu zostały zmienione.

Fot. GABOR LÖRINCZY

penetracje



Na ścianie budynku portierni wisi czerwony szyld: „Fabryka Aparatury i Urządzeń Komunalnych w Łomży. Zakład Metalowy”. Tuż za „bramą wejściową” grzęźnie się w błocie Rozdeptana, rozjeżdżona kołami samochodów bryła sączy się przy każdym stąpieniu szparami porozklejanych żelówek.

— Niech pan tylko spojrzysz — jeden z pracowników prezentuje mi „zęby” rozlatującego się trzewika — każde przejście tędy to mokre nogi. — A chodzić trzeba wiele razy: z materiałem do hali, z „koszami” taczek na podwórko. Nikt wtedy nie skacze z kępy na kępę, nie mierzy głębokości kałuży.

— Nooo, nie jest tak źle — mówi zastępca dyrektora ds. ekonomicznych. — Ostatnio dostaliśmy dziesięć par gumofilców. Nie powinni już narzekać.

Kierownik Zakładu ocenia sytuację trochę inaczej: — Jeżeli widzę, że człowiek wyjmując z buta nogę czarną od błota, nie powiem mu przecież, że może w nim jeszcze pochodzić. Ja takich potrzebujących mam ponad 50 proc. załogi. Nie na to jednak nie

mienić na sprawniejsze, wraz z pyłem wyciągałyby ciepło.

Pomijam już dyskusyjność uzyskanego wskaźnika zapylenia (ciekawość, czy pomiary dokonywane były przy zamkniętych oknach), na ironię jednak zakrawa mówienie o cieple w przeciągu. W pomieszczeniach spawalniczych jest bardzo zimno. Nie

transport wewnątrzzakładowy) ucieka najmniejsze choćby wspomnienie ciepła. Po kilkunastu minutach staną sztywnieją nogi i ręce. Na wprost pily wybity jest w ścianie hali otwór. Tędy podawane są z zewnątrz na maszynę metalowe rurki. Zimny strumień powietrza omywa piłę i pada na plecy (na wysokości nerek) ro-

grzać się też posiłkiem regeneracyjnym. Największe obryzanie wywołuje wśród niektórych robotników wspomnienie zupy grzybowej, okraszanej niewielkimi kawałkami szmat. Konkurencję z nimi wytrzymują jeszcze rybki w zupie owocowej i karaluchy — w różnych zupach. Posiłki regeneracyjne dostają z kuchni stołówki w pawilonach ABC. Zakład płaci po 50 złotych od każdego. Wydawałoby się, że jest to dużo jak za zupę i tzw. wkładkę. Okazuje się jednak, że na tę ostatnią zaczyna już nie starczać. Najpierw był nią cały kotlet, potem pół, ostatnio (coraz częściej) — nic. Bardzo kiepska jakość posiłków dziwi tym bardziej, iż te same, konsumowane w stołówce, smakują o niebo lepiej. Zachodzi więc podejrzenie, że zakład (oczywiście, nie zawsze) otrzymuje zlewki, uzupełniane — w razie ewidentnych braków — wodą.

Dyrektor przedsiębiorstwa tłumaczy WSS trudną sytuacją i niedostatkiem mięsa; przekazuje, że to samo można znaleźć w stołówce (należałoby przypuszczać — także karaluchy, rybki i szmaty).

Określenie „manufaktura” wyraźnie drażni uszy kierownika Zakładu i wywołuje alergiczny wprost odruch protestu. Trudno się temu dziwić; trudno też nie zgodzić z argumentem, że w kraju takich, a może i znacznie gorszych, przykładów znalazłoby się więcej. Nie zmienia to jednak faktu, że zakład sprawia wrażenie XVII-wiecznej manufaktury.

ostatnia manufaktura

poradę. W magazynie nie chcą mi dać nawet gumofilców, bo mówią, że i tak za dużo biorę. Nikt jakoś nie zastanowił się nad tym, że są to buty do noszenia w sezonie, lecz, z braku trzewików, używa się ich przez okrągły rok. Na ile wtedy mogą starczyć? Gumofilce bardzo łatwo zniszczyć, wystarczy zaczepić o ostrą krawędź jakiegoś detalu. Żaden zakład nie przyjmuje ich do reperacji, chyba że razem z materiałem. Tymczasem ani nie mamy go skąd wziąć, ani nie stać nas na usługi, które kosztują więcej niż nowe buty. Niedawno dostaliśmy wojskowe oficerki z kasacji. Trudno powiedzieć, żeby można było w nich chodzić. Najwyżej w ostateczności. Są zdarte do tego stopnia, że po kilku dniach się rozlatują. Gdyby chodzić w nich tylko po suchym... W tym błocie rozklejają się nawet nowe saperki.

Buty się rozklejają, ubrania robocze — drą. Kilku robotników ostentacyjnie demonstruje dziury w spodniach, porwane rękawy. Z perspektywy dyrektorskiego stołka jest to głównie rezultat niechlujstwa pracowników („Płacimy im za życie i pranie, ale to tylko mydlenie oczu, wiadomo, że i tak tego nie robią”) i pewnych trudności obiektywnych („Jesteśmy za biedni na to, żeby mieć własnego krawca i pralnię”). Problemu w gruncie rzeczy więc nie ma („Na tych dwadzieścia osób, jeżeli cztery czy pięć ma coś porwane...”), ale może wyniknąć. Ministerstwo bowiem wyraźnie optuje za tym, żeby wydłużyć okres używania ubrań.

W tym przypadku kierownik reprezentuje podobny punkt widzenia: — Są obowiązujące tabele, normy. Jeżeli przepisy mówią, że ubranie powinno wytrzymać cztery czy sześć miesięcy, trzeba się do tego stosować. Widocznie ludzie nie dbają należycie o to, co im się daje. — Jednocześnie jednak przyznaje, że trudno przejść przez zakład bez zahaczenia o jakiś pręt czy drut.

Najwięcej pretensji do dyrekcji mają spawacze. Nie chodzi im wyłącznie o ubrania (kierownik twierdzi, że niszczą je, gdyż nie zakładają fartuchów ochronnych); bardzo dużo mówią na temat uciążliwych warunków pracy w hali. Mają żal o to, że przez blisko trzydzieści lat istnienia w tym miejscu zakładu nie uporano się z problemem wentylacji pomieszczeń. W czasie spawania toną one w obłokach szarego, gryzącego dymu i pyłu. Nie na wiele zdają się, i tak rzadko w pełni sprawne (brakuje części zamiennych), wentylatory, a otwieranie na oścież okien i drzwi nie każdemu wychodzi na zdrowie. Szczególnie zimno.

Kierownik uważa, że przyczyną tego stanu rzeczy jest akordowy system pracy. Robotnik zamiast jednego kosza stawia pod otworem wyciągu kilka. Spieszy się, chce wykonać jak najwięcej, a pyły ze spawania nie idą do wentylatora, lecz rozcho- dzą się po pomieszczeniu.

Zdaniem behapowca — spawalnia została wybudowana według ogólnie przyjętych wymogów. Przekroczenie wskaźnika zapylenia mieści się w normie. Wentylatory co prawda nie działają najlepiej, ale gdyby je wy-

ALEKSANDER WRONISZEWSKI

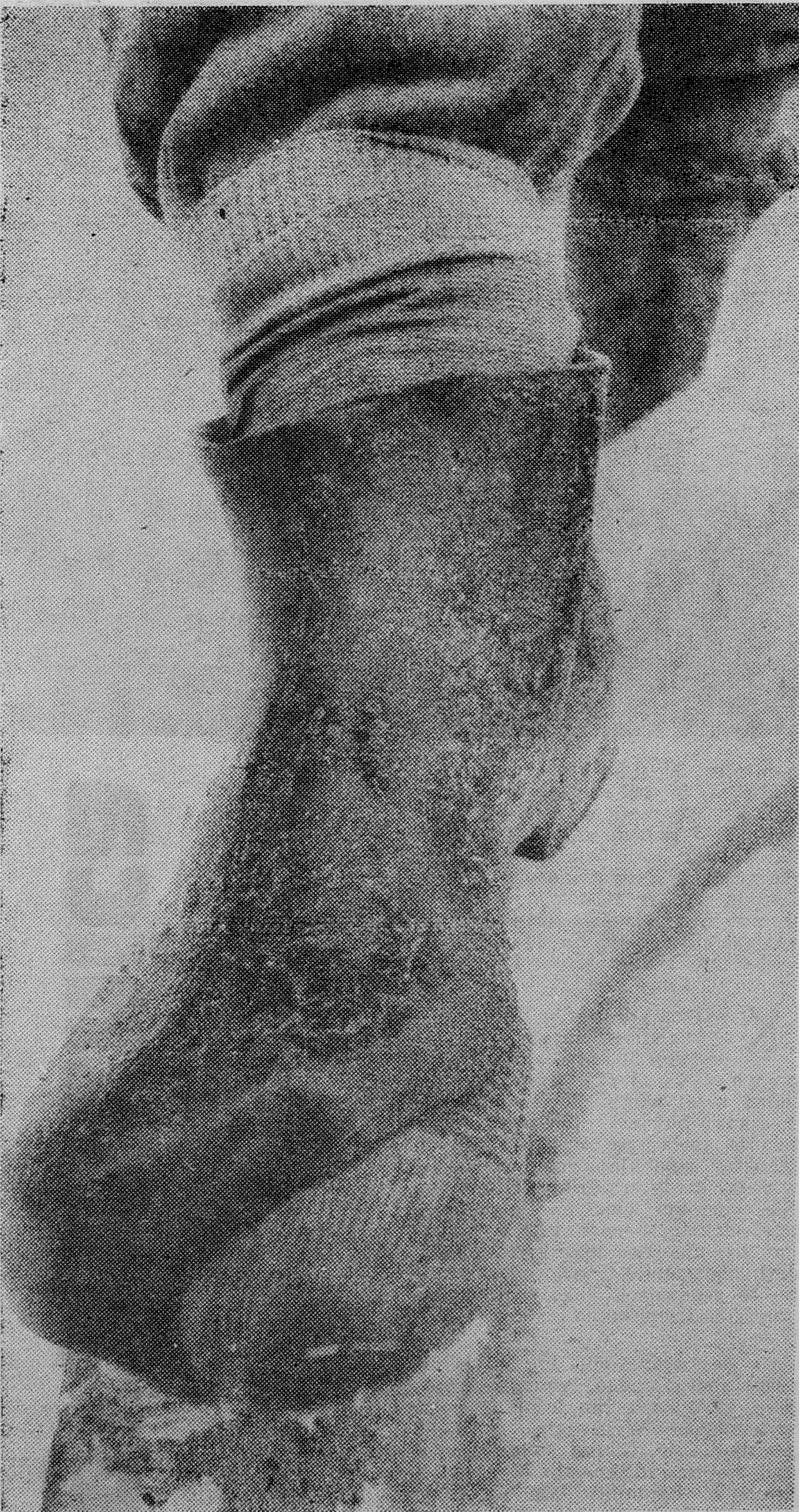
pomagają nawet piece opalane miałem węglowym (brakuje koksu). Gdy tuż przy nich powietrze drga żarem, krok dalej owiewa człowieka lodowaty podmuch.

Jeszcze gorzej jest w hali maszyn. Przez czworo szeroko otwartych drzwi (bez tego niemożliwy byłby

robotnika obsługującego prasę. Trudno wyobrazić sobie pracę tutaj przy nieco niższych temperaturach.

— Wtedy idzie się na kierat robić nogi do tacek. Po godzinie z człowieka się leje — wyjaśnia konserwator maszyn.

Teoretycznie można byłoby roz-



zgadza się jednak z tym, że za 50 złotych posiłki mogłyby być trochę lepsze. Zupełnie natomiast nie podziela opinii robotników i kierownika zakładu co do nieprawidłowości w przydziale środków higieny. Z tego, co mu wiadomo, ludzie otrzymują proszek, gdyż o niego prosili. Mogłoby dostawać zamiennie pastę białą, ale dla jednej czy dwóch osób wyjątku robić się nie będzie. To nieprawda, że proszek źle zmywa. Wręcz przeciwnie. Jedynym jego mankamentem jest to, że podrażnia naskórek. Ale i pasta, podobno, ma jakieś niekorzystne, uboczne działanie.

Wszyscy pracownicy, z którymi rozmawiam (łącznie z kierownikiem), twierdzą co prawda, że woleliby pastę, ale tego typu chęć jest kompromituje się w obliczu trudności obiektywnych. A te — głosem magazyniera — mówią, że pasty nie ma. Pozostaje pytanie: kto i kogo robi tu w balona.

Dyrektor widzi w tym dzieło kilku mącieli, którzy niewiele robią, dużo gadają i stwarzają złą atmosferę. Przy dokładniejszym poznaniu okazuje się, że chodzi o jednego pracownika transportu, który właśnie przestał pracować w Zakładzie. Opinia o złej atmosferze jednak pozostaje, bo przecież nie może być dobrze tam, gdzie przyjmuje się do roboty takich ludzi, jacy się zgłaszają.

Niewykluczone, że mowa tu o dwóch różnych załogach, bo aż trudno uwierzyć, by o tej samej kierownik powiedział: — Jestem z nich bardzo zadowolony. Przecież oni w gruncie rzeczy poświęcają część swojego życia. Trzeba mieć ogromny sentyment do tego, co się robi, żeby stać nie uciec. Inni dawno by to zrobili.

Przeciętna płaca w Zakładzie Metalowym Fabryki Aparatury i Urządzeń Komunalnych wynosi około 10 tysięcy złotych. W zakładach spółdzielczych ci sami ludzie zarabialiby po kilka tysięcy więcej. Warunków pracy nie warto porównywać. Kiedyś w tych budynkach była stadnina koni, później — jajczarnia. Teraz produkuje się taczki. Przez blisko trzydzieści lat w Zakładzie nie zmieniło się prawie nic. Zawsze naczelnym argumentem przeciw wszelkim, najdrobniejszym choćby, inwestycjom była obawa przed wywłaszczeniem. I ciągle nadzieja na to, że zrealizują się jednak wspaniałe plany: ruszy ogromna budowa, na której sfinansowanie mało byłoby funduszy państwa, jak łomżyński banków.

Ogromna budowa pozostanie marzeniem, Zakład jednak już za parę miesięcy przeprowadzi się w nowe miejsce. Na pewno będzie tam wygodniej, przestronniej i... cieplej. Zabraknie zatem — prawdopodobnie — wszystkich dotychczasowych powodów do narzekań. Pozostaną tylko ci sami ludzie. I te same maszyny: często już nieco przestarzałe, stojące z powodu braku części zamiennych. O tym, że znikła ostatnia łomżyńska manufaktura, napiszę za półtora roku.

Fot. GABOR LÖRINCZY



kontakty kontaktów

Niedawno odbyło się zebranie byłych pracowników Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Handlu Wewnętrznego w Łomży. Wszystkich emerytów mile i serdecznie powitał dyrektor WPHW, mgr Stefan Sutymiec. Przedstawił nam trudności, z którymi boryka się nasz handel. Jednakże wypracowano tzw. „trzynastkę” i wypłacono ją również emerytom. Wszyscy byliśmy bardzo zadowoleni, że o nas — emerytach — się nie zapomina.

MARIA PRZEŹDZIECKA
W IMIENIU EMERYTÓW
Z WPHW W ŁOMŻY

Jestem stałym prenumeratorem „Kontaktów”, które zbieram systematycznie od pierwszego numeru. Interesuje mnie historia regionu, w którym mieszkam, a więc i kolumna „Łomżyńska”. Uważam, że jest ona bardzo potrzebna w naszym tygodniku. Panu redaktorowi kolumny chciałbym podziękować za dotychczasowy wysiłek w jej redagowaniu i chęć dalszego jej wydawania w oparciu o czytelników. Sądzę, że wówczas nie będzie ona mniej zajmująca od poprzednich.

HENRYK OSOWSKI
TYBORY TRZCIANKA
GM. WYSOKIE MAZOWIECKIE

Na łamach naszego wspólnego tygodnika pragnę podziękować za szczególnie życzliwą, bezinteresowną i z serca płynącą pomoc

Otóż 21 lutego bieżącego roku późnym wieczorem wracałam wraz z synem z kliniki ortopedycznej w Białymstoku. Syn miał nogę w gipsie, bo właśnie tego dnia zmieniano mu opatrunek. Na dworze była duża zadymka, na jezdni ślisko, a ja prowadziłam małego fiata. W miejscowości Kapice nasz samochód wjechał w poślizg i spadliśmy do głębokiego rowu. Ponieważ samochód przewrócił się na prawą stronę, z ledwością otworzyłam lewe drzwiczki i wygramoliłam się na jego dach, skąd wyglądałam pomocy.

Po jakimś czasie nadjechał i zatrzymał się polonez. Jego pasażerowie, młodzi ludzie, pomogli mi zejść z góry. Wkrótce nadjechała karetka pogotowia. Wszyscy mężczyźni ustawili mój samochód na koła. Dopiero teraz został uwolniony z malucha mój syn i na noszach zaniesiony do karetki. Inne samochody, bo chyba — oprócz pogotowia — były jeszcze dwa, odjechały, zaś kierowca z karetki, Kazimierz Zambrzycki, i sanitariusz — Ireneusz Dąbrowski, zostali z nami do końca. To oni sprawowali ze wsi gospodarza z traktorem, pomogli wyciągnąć z rowu samochód i zaopiekowali się synem.

Później, cała roztrzęsiona i potłuczona, jechałam wolno swoim samochodem za karetką, w której jechał mój syn. W ten sposób szczęśliwie dojechalismy do domu. Potem sanitariusz z kierowcą wnieśli na noszach syna do mieszkania. Chciałam im gorąco podziękować, ale szybko wybiegli i odjechali, bo musieli stawić się w pracy. Dziękuję im więc bardzo serdecznie za pośrednictwem „Kontaktów”

DANUTA KOZAK Z SYNEM
ŁOMŻA

Przychylając się do życzeń Czytelników uprzejmie informujemy, iż do redakcyjnego prawnika i psychologa we wszystkich, nasuwających wątpliwość, sprawach można zwracać się nie tylko osobiście, ale również listownie.



Dom jest stary, solidny, przedwojenny. Nad wejściem tablica: „Hotel pracowniczy”. Mieszkają tu zgodnie ludzie, koty i myszy. Zwierzętom jest tu dobrze. Ludzie dzielą się na rodziny z potomstwem i wolne ptaki. Te ptaki to absolwenci wyższych uczelni, sty-

Z DYPLOMEM W GARŚCI

— Na trzecim roku podpisałam umowę o stypendium fundowane — opowiada Małgorzata. Zdecydowa-

siedzę na obłoku

pendyści zakładów. Według powszechnej — opinii wiada życie godne zazdrości: bez troski, pełne nowych wrażeń, przepojone euforią i, oczywiście, szczęściem. Wszystko przed nimi: awans, pieniądze i Bóg raczy wiedzieć, jakie jeszcze przywileje. A jaka jest prawda? Smutna.

Małgorzata siedzi na stole w kuchni (wspólnej) i macha nogami. Co pewien czas zeskakuje, aby pomieszać gotujący się bigos.

— I tak się przypali — mówi machnąwszy ręką. — Nawet taki głupi bigos mi się nie udaje.

Wchodzimy do pokoju. Do złudzenia przypomina mi studenckie czasy. Na ścianach plakaty, reprodukcje (impresjonistów), półki pełne książek, jakieś kwiaty i ten artystyczny nieład, który tak mile się teraz wspomina. Małgorzata dorobiła się telewizora i małego regału. Nic więcej już się nie zmieści. Pod oknem, obok kaloryfera, dwa nie rozpakowane kartonowe pudła, magnetofon i... to wszystko.

lam się, bo chodziło mi przede wszystkim o mieszkanie. W tym roku, w czerwcu, stukną cztery lata, odkąd tu jestem, i sama widzisz: siedzę na walizkach. Obiecywano mi mieszkanie zakładowe w ciągu dwóch lat od momentu podjęcia pracy. Nie chce mi się już o tym mówić. Skoro ma się centralne ogrzewanie, wodę i łazienkę, nie więcej podobno do szczęścia nie trzeba. Wykwaterowano stąd ludzi, bo jaka komisja orzekła mądrze, że — ze względu na lokalizację kotłowni — nikt nie powinien tu mieszkać. Dawni lokatorzy otrzymali mieszkania w nowym budownictwie, a w kilka miesięcy po tej decyzji... powstał hotel pracowniczy. Widocznie nasze organizmy są na tę kotłownię odporniejsze. Codziennie trzeba wszystko dokładnie odkurzać, a sadze rozmazują się wszędzie. Wentylator powoduje takie wibracje, że dzwonią szklanki, trzęsą się drzwi i ściany. A teraz pokażę ci łazienkę.

Małgorzata prowadzi mnie z ciężkim westchnieniem. Rząd umywalek,

na sznurach rozwieszone pranie. Podłoga pokryta gumoleum. W dolku stoi woda.

Pod spodem są zwykłe dechy, które gniją i robią się potem takie dziury, jak widzisz — Małgorzata wskazuje kilka takich miejsc. — Ktorego dnia ta podłoga spadnie na parter. Strach pomyśleć. Od roku nie możemy doprosić się taboretu, na którym można by postawić miskę z praniem. Już niedługo dostanę garbu od tego klęczenia.

Idziemy do kuchni.

— Z palników od czterech lat ulatnia się gaz. Fachowcy stwierdzili: „Wszystko w porządku”. A ja co rano boję się zapalić zapalnik.

Małgorzata robi herbatę i opowiada o swojej pierwszej pracy: — W dziale kadr przyjęto mnie oziębłą i z laską. Nie oczekiwałam orkiestry na dworcu ani powitania przez dyrektora, ale sądziłam, że do młodego pracownika, a zwłaszcza stypendysty, podchodzi się poważnie i na zasadzie partnerstwa. A tu już na progu powiedziano mi, że nie ma mojej sprawy, bo do odbycia stażu została mistrzem wydziału (co obiecano mi w umowie i wcześniejszych rozmowach), bo do tego potrzebne jest doświadczenie. Przed ucieczką zatrzymało mnie wtedy to stypendium, czyli obowiązek pracy przez trzy lata. Miał staż i po trzech miesiącach... otrzymałam angaż na mistrza wydziału! To był mój wielki sukces.

W ciągu czterech lat moje młodzińcze ideały zamieniły się w garstkę popiołu. Nie wierzę w uczciwość, bezinteresowność, sprawiedliwość i etykę zawodową. Przeżyłam strajki i „Solidarność”. Nie byłam członkiem tego związku dlatego, że do komisji zakładowej weszli dziwni ludzie. Znałam człowieka, który kradł, ale z wielkim patosem wyzywał do przestrzegania dyscypliny pracy i uczył praworządności.

— Ale chyba masz jakąś satysfakcję z pracy? — przerywam jej czarne pasmo wspomnień.

— Czasami; bo najczęściej jednak mam wrażenie, że jestem tu niepotrzebna. Cieszę się, gdy uruchamiamy nową technologię, bo jest w tym również mój udział. Ale najbardziej dobija mnie to życie nad kotłownią.

— A co z mieszkaniem?

— Na wodzie pisane. Podobno mamy dostać już w tym roku.

Małgorzata, Lilka, Iwona, Miśka — wszystkie są prawie w tej samej sytuacji. Zajmują „pomieszczenia hotelowe”, mają do dyspozycji wspólną kuchnię, łazienkę z przegniłą podłogą, widok na kot-

łownię o czterdzieści metrów od okna. Różnią się tylko charakterem i podejściem do życiowych trudności.

Małgorzata mówi nagle: — Znam taką francuską piosenkę; brzmi ona tak: siedzę na obłoku, słońce świeci mi w twarz, ziemia jest taka kołowa. Jest mi tu dobrze, ale chciałabym stanąć pośród kwiatów i dotknąć trawy bosą stopą. Mam spakowane walizki i mogę sfrunąć w dół, jeśli tylko mi się spodoba. I tracę głowę, bo nie wiem, co robić: uciec stąd czy zostać? Trudno jest mi żyć, bo siedzę na obłoku... Tak, zmarnowałam cztery lata życia. Ale przecież któregoś dnia mogę wziąć walizki i wrócić w rodzinne strony. To tylko 400 kilometrów stąd.

GABRIELA SZCZESNA
Fot. GABOR LORINCZY



CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Kazimierz Koźniewski: — Myślę, że musimy zacząć od uświadomienia sobie, iż nie ma systemu tak idealnego, który nie poddawałby się krytyce, gdzie zbędna byłaby jakakolwiek kontrola nad władzą. I obojętne — czy było to społeczeństwo feudalne, jest kapitalistyczne lub socjalistyczne, zawsze pojawia się ten sam problem: jak może ono tę funkcję sprawować. Jest to zagadnienie niezwykle istotne szczególnie dla nas: kolejne kryzysy, których w ciągu tych trzydziestu kilku lat przeżyliśmy tak wiele, zrodziły się stąd, iż nie wypracowaliśmy skutecznego, spójnego systemu kontroli. I tu uświadomić sobie musimy pierwsze sprzężenie zwrotne: tak długo, jak nie funkcjonuje system kontroli społecznej, nie zafunkcjonuje poczucie odpowiedzialności za to, co dzieje się w kraju, w gminie, we wsi; tak długo system ten nie będzie funkcjonował dobrze, dopóki nie zostanie ukształtowane poczucie odpowiedzialności.

Krytyce i kontroli towarzyszyć musi chęć pozytywnego oddziaływania na przebieg decyzji lub rozwiązanie problemu, chęć przedłożenia własnej pozytywnej propozycji. W społeczeństwie polskim od dwustu lat sprzężenie to, drugie z kolei, jest

aprob

wały okre.y — lata pięćdziesiąte — kiedy obowiązywały państwowe przepisy, bardzo surowe, zobowiązujące do reagowania na krytykę prasową i załatwiania spraw przez nią podejmowanych. Całkowitą natomiast dyssatysfakcję, zwłaszcza w ostatnich latach, budzi drugi obszar krytyki wymierzony także we władzę, ale dotyczący idei, poglądów, koncepcji o charakterze bardziej ogólnym. Wynika to być może z faktu, że o ile w pierwszej kategorii spraw istnieją zawsze duży stopień prawdopodobieństwa swoich racji, w drugiej mamy przeważnie do czynienia z problemami mocno dyskusyjnymi. W odniesieniu do niej działalność krytyczna odnosi efekt na zasadzie kropli, która drąży skały: nikt nie zwraca na nią uwagi, nie widać dostrawnych rezultatów, ale mijają lata i okazuje się, że jednak coś zaczyna dobnie. Wszyscy oni — zdawać się może — jej pragną i do niej zachęcają. A jakże zaskakujące wyciąga potem wnioski historyk konfrontujący owe deklaracje z praktyką

Zygmunt Szeliga: — Po wielu latach doświadczeń dziennikarskich doszedłem do takiej oto konkluzji: krytyka władzy w naszym kraju osiąga pewne, nawet spektakularne sukcesy, w odniesieniu do spraw szczegółowych, do konkretów. Ba, by-

wyższej, znajduje się nie szary obywatel, lecz krąg dworaków, którego wypowiedzi są nie tylko bardziej przekonujące, ale i miłsze uchu. Jakże często one właśnie biorą górę nad głosem dołów, który skutecznie potrafił przecedzić lub zastopować.

Zygmunt Szeliga: — Pozwolicie panowie, że pogodzę was tezę, iż władza wie, kiedy wiedzieć chce. Czy chciała zawsze? Obecna ekipa, mogła to stwierdzić naprawdę autorytatywnie, jest wyjątkowo wyczulona na reakcję społeczną, podstawą jest dobra, wielostronna informacja. Jak było wcześniej? Przywołam dwa przykłady. W przeddzień podwyżek czerwcowych, w 1975 roku. Pyka i Wrzaszczyk byli naprawdę przekonani, iż cała operacja cenowa przejdzie bez większych perturbacji, opierając tę tezę na mniemaniu, że znają rzeczywistość, nastawienie opinii publicznej. Efekt? Znamy doskonale wszyscy. Przykład drugi: pewne wiadomości przynosił Gierkowi osobiście ówczesny minister Spraw Wewnętrznych, dzielił się nimi z szefem, wychodząc mijał po drodze szatkwonice do papieru, w której niszczył dostarczone raporty. O ilu sprawach wiedziało więc tylko dwóch ludzi?

Stanisław Czeleżyński: — Redaktor Szeliga mówił o pełnym doinformowaniu obecnej ekipy. A czy rząd wie,



zburzone. Stało się tak dlatego, ponieważ w momencie kiedy kształtowała się w Europie świadomość nowoczesnej państwowości, jako państwo nie istnieliśmy. Pogłębianie zaś poczucia odpowiedzialności społecznej, państwowej, politycznej jest procesem, który narasta bardzo powoli.

Kontrola i krytyka łączyć się też musi z przeświadczeniem o prawie do różnicy zdań. Tymczasem naszą cechą narodową, również ukształtowaną w ostatnich dwóch wiekach, jest nietolerancja. Dziś przeciętny Polak chce mieć jeden punkt widzenia, który może odrzucić lub aprobować.

Adam Dobroński: — Bez wnikania w szczegóły i próby ferowania ocen, chciałbym zwrócić uwagę na bardzo znaną rzecz. „Musimy wysłuchać opinii krytyki” — mówił Eugeniusz Kwiatkowski w przemówieniu sejmowym w 1936 roku. — Spójrzcie na rzeczywistość naszego życia i dostosować dyspozycje do stanu faktycznego”. Inny z polityków tej doby, Władysław Grabski, pisał: „Nie wyrosłem ani na karierze urzędniczej, ani partyjnej. Nieraz brałem różnych też dla wielu poważnych czyn-

ników niemiłych, w obronie zdań, które wygłaszałem, narażałem się niekiedy i to bardzo poważnie”. „Siła nasza tkwiła — zanotował Lenin — i tkwić będzie w zupełnie trzeźwej ocenie wniosków wypływających z najcięższych porażek, uczeniu się na ich przykładzie. Dlatego trzeba mówić bez ogródek”.

Nieprzypadkowo chyba na temat roli i znaczenia krytyki wypowiedzi mężów stanu różnego kalibru są po-

się zmieniać. Byłoby nieporozumieniem, gdybyśmy jednak twierdzili, iż ostrze krytyki kierowane powinno być tylko we władzę. Gdybyśmy nie widzieli negatywnych postaw, zachowań czy wyobrażeń społecznych wobec których najlepsza nawet władza, mająca najlepsze chęci często bywa bezradna

Danuta Wroniszewska: — Wydaje mi się, że chcąc mówić o systemie krytyki, musimy się najpierw przywrzeć i to krytycznym, systemowi informacji: niedostateczne informowanie społeczeństwa wypacza spojrzenie i pogląd na wiele spraw; niedostateczna wiedza władzy o nastrojach, realnym stanie rzeczywistości, doprowadza do sytuacji, którą ładnie określa się później „oderwaniem od mas”

Kazimierz Koźniewski: — Ależ, drodzy państwo! Każda władza, wbrew powszechnym opiniom, zawsze znakomicie wie, co społeczeństwo naprawdę myśli, tyle że nie zawsze reaguje w sposób, który temu społeczeństwu wydałby się właściwy!

Adam Dobroński: — Zaraz, zaraz! Nie możemy przemilczeć faktu, że zawsze bliżej władzy, szczególnie tej

iz społeczeństwo jest bardzo niezadowolone z wyroków sądowych zapadających w ostatnim okresie, choćby w sprawie morderców z Otwocka, przeciwko... spekulantom którzy otrzymują niewymiernie małe kary w stosunku do przewinienia.

Zygmunt Szeliga: — Proszę państwa! Musimy umówić się co do jednego: rząd, to rząd — sąd, to sąd. Sąd nie jest rządowy! Jedną rzeczą, wiążącą sąd, jest prawo. Wymiar kary określony jest prawem i nie podnośmy postulatów, by ktokolwiek mógł ferować wyroki. Przypomnijmy sobie telefony wykonywane przez wysoko postawionych: z przyjacielską radą, sugestią czy wręcz żądaniem. Tragiczne były to czasy. Owoc tych lat — lat pięćdziesiątych — to również świadomość społeczna, która znajduje wyraz w znanym porzekadzie: „Rok nie wyrok, dwa lata jak dla brata”. A przecież rok wyrwany z życia to tragiczna sprawa! Oczywiście, można się zgodzić z wyczuwalną niewspółmiernością różnych wyroków: ktoś wyniósł z fabryki części wartości kilku tysięcy złotych i otrzymał 4—5 lat; kiedy indziej, w znacznie grubszej aferze, skończyło się na grzywnie lub symbolicznej ka-

Starcia - klub dyskusyjny Kontaktów



rze pozbawienia wolności. Są to jednak indywidualne przypadki, których szczegółów najczęściej nie znamy.

Adam Dobroński: — Myślę, że opinia publiczna jest niezadowolona również dlatego, że niejako przelicza wyroki zapadające w procesach „ulotkowych”, „drukarskich” i porównuje je z wyrokami zapadającymi w groźnych przestępstwach kryminalnych lub głośnych afer.

Tadeusz Olejniczak: — Jeśli mówimy o krytyce i to krytyce społecznej, to każda władza w jego imieniu sprawowana, nie może przejść obok niej bez reakcji. Sygnałem, że coś dzieje się źle, wcale nie musi być jednak krytyka w potocznym rozumieniu; sygnałem takim jest także milczenie społeczeństwa. Jest ono tym bardziej znaczące i godne uwagi, że tkwimy w nim pasywność i bierność.

Kazimierz Koźniewski: — Jest to postulat wysuwany od tysięcy lat: władza powinna reagować na każdy głos społeczeństwa. Ale przecież jedyną rozstrzygającą formą przejawów akceptacji lub negacji jej poczynań jest głosowanie do parlamentu. Innej uchwytnej formy nie ma. Ba, zawsze przecież gdy jedni mówią „a”, inni w tym czasie twierdzą „b”. Inny pogląd na tę samą sprawę, choć jeden i drugi może być prawdziwy,

kolegów, środowiska, układów. Tu, niestety, każdy przejaw krytyki odbierany jest niemal wyłącznie personalnie. Bywają przypadki, iż traktuje się ją jako atak i to z wnioskiem: jeśli jestem postawiony przez organizację polityczną, jest to jednocześnie atak na moją organizację. To przecież nonsens.

Zygmunt Szeliga: — O ile zgadzam się z końcową tezą, to jednak oprócz krytyki zjawisk, problemów czy rozwiązań jest jeszcze i krytyka ściśle personalna. Dureń naczelnik, głupi wojewoda, bałwan dyrektor — to konkretni ludzie, istniejący niezależnie od jakości rozwiązań systemowych.

Michał Gajos: — Padają tu głosy podkreślające znaczenie krytyki, jej roli, podbudowane cytatami klasyków i przykładami. Niewiele jednak mówiliśmy o reakcji podmiotu krytyki. A bywa ona różnorodna — od sięgania po kulek w płocie, po nakaz aresztowania. Pośrednich form jest bardzo wiele, a skutek jeden: społeczeństwo najrzetelniej ujawnia swą opinię w bardzo wąskim gronie lub milczy. Nie będzie tego zjawiska dopiero wówczas, gdy krytykowany zasiadzie z krytykującym do dyskusji. W tym właśnie — budzeniu myślenia i doprowadzania do wymiany poglądów — widziałbym najistotniejszą rolę krytyki.

spiecia



Jeden z członków łomżyńskiej pałestry na pytanie dziennikarza o ocenę prowadzonej sprawy (kilka rozpraw) odrzekł, iż właściwie sam nie wie, o co w niej chodzi. Bywalec sądowych orzekł, że mecenasowi też, niestety, potrzebny jest „advokat”.

Za przejazd autobusem podmiejskim firmy ZKM z Łomży do pierwszego przystanku w Piątnicy należy, według nowych cen, uiścić trzy złote; dojazd do drugiego przystanku (oddalonego o kilkaset metrów od pierwszego) w tej samej Piątnicy kosztuje już złotych sześć. Bilet, tak zwany miesięczny, za korzystanie z autobusów powyższej firmy i na powyższej trasie kosztuje pracownika Fabryki Aparatury i Urzędzeń Komunalnych 200 złotych miesięcznie. Drugie dwieście dopłaca zakład. Pracownik rzecz przemysła i doszedł do wniosku, że gdyby codziennie kupował bilety w kiosku na dojazdy straciłby tylko 156 złotych. Kalkulacja kosztów w ZKM przypomina elitarną grę w pici-polo:

— Wymień pan dowolną liczbę.
— Jeden.
— Trzy; wygrałem. Gra pan dalej? Nie? To won, chamie!

Prezydent Rzeczypospolitej przy ustalaniu wydatków państwa na 1936 rok — bacząc na kryzys — sam sobie zmniejszył wynagrodzenie o sześćdziesiąt tysięcy złotych rocznie, więc o pięć tysięcy miesięcznie. W 1982 roku — bacząc na kryzys — wypłaciliśmy sobie „trzynastki”, „czternastki”, „piętnastki”. Co nie zmienia faktu, że sanacyjną „paty-ki” nie były podpora etyki.

„Kontakty” otrzymały zaproszenie adresowane „Kątakty”. Wobec próby wrobienia redakcji w niewybredny eksces seksualny, oświadczamy, iż to prawda, proszę pana, że „artyści chodzą nago po tych kątach już od rana”. Nie sądziliśmy jednak, iż jest aż takie zapotrzebowanie, że ich akty ogląda się pokątnie. Zboczenie to jednak niegroźne: żaden kodeks nie przewiduje kar za gwałcenie ortografii.

Do laboratorium Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego zgłosiła się pacjentka ze skierowaniem na badania opatrzonym wykrzyknikiem „pł-nie!” Laborantka, zauważywszy u niej uśmiech, stwierdziła, iż choroba nie musi być aż tak poważna i na wyniki może sobie poczekać. Cóż, kusimy nieraz los, a ten zamiast uśmiechu, rusza na nas z chichotem, jak na ser.

Po niedługiej chwili oddechu nachodzą nas czytelnicy z brudnymi butelkami po mleku, rozcieńczoną wodą śmietaną, zanieczyszczonym mlekiem. Wszystkie te peretki pochodzą ze Spółdzielni Mleczarskiej w Piątnicy. Jak ten Sztudynger wyczuł pana, panie prezesie? „Nim tu zdążył być ramolem, To zatrują cię fenolem”.



mieć będzie górnik i rolnik. Jest więc niesłychanie trudno ustalić, a potem wybrać spośród wielkiej ilości opinii, tę najprawdziwszą. Druga sprawa — że społecznym postulatem pełnej informacji wiąże się żądanie jawności: posiedzeń, zebrań, obrad, konferencji. Otóż w roku 1946 Ksawery Pruszyński, pisarz, który, pewnego dnia został dyplomata, powiedział mi pewną znamioną rzecz: „Najgorszą rzeczą, jaką ludzkość mogła sobie sprawić, jest jawność polityki i dyplomacji. Polityk, któremu w wielkiej sali każe się mówić przed publicznością, mikrofonem, dziennikarzami, agentami wysyłającymi natychmiast każde słowo w świat, przestaje mówić rozsądnie i mądrze, zaczyna mówić teatr, a nie politykę”. Jestem przekonany, że o wiele lepiej, spokojniej i rozsądniej rozegrałby się sprawy 1981 roku, gdyby nie było nagrywanych, rozgłaszanych narad, gdzie każdemu chodziło o to, by lepiej wypaść w opinii środowiska, niż osiągnąć określony cel.

Adam Dobroński: — Ale też Aleksander I, chcąc zniszczyć legalną liberalną opozycję w Królestwie Polskim — do prostu wprowadził tajność

obrad sejmowych. Cel osiągnął również.

Tadeusz Zaremba: — Uderzyliśmy od razu w wysokie tony: krytyka rządu, głów państwa, ministrów. W tej optyce rzeczywiście jednostkowa krytyka, nie ma większego sensu. Ale władza to nie tylko rząd. Władza realizuje się głównie na dole i gdy mówię o niej, mam na myśli jej szczebel bezpośredni. Wypływa wówczas cały szereg zupełnie przyziemnych uwag: krytykując na tym poziomie jest się zależnym od rodziny,

Czesław Brodzicki: — Mówimy o krytykowanym, jego reakcji. Mnie interesowałoby natomiast kwestia kompetencji krytykującego. Uważam bowiem, że krytykować ma prawo tylko ten, kto doskonale zna określone zagadnienie.

Zygmunt Szeliga: — Jest to stwierdzenie niezwykle dyskusyjne. O ile bowiem sprawa czysto fachowego sporu może być problemem zupełnie wewnętrznym i dziennikarz raczej nie powinien wdawać się w dyskusję, czy np. noga została amputowana prawidłowo, dziecko uczzone jest odpowiednią metodą, to mechanika funkcjonowania służby zdrowia czy szkoły, szpitala lub pracy lekarza, pielęgniarki lub nauczyciela nie może być absolutnie wyłączona spod krytyki prasowej. Musimy sobie uświadomić, że jeśli przyjeźlibyśmy zasadę, jakiegokolwiek wyłączenia, to można by w tym momencie postawić krzyżyk krytyce jako całości.

Kazimierz Koźniewski: — Warto więc może zapamiętać moją dewizę: zgoda rujnuje — buduje tylko niezgoda.

PRZYGOTOWAŁ
WŁADYSŁAW TOCKI

HENRYK GAŁA

lista przebojów

Zaczyna się od rana. Radio powtarza codziennie jedną stronę jakiejś starej płyty. W bieżącym tygodniu najgłośniejsza jest piosenka francuska z wykrzykiwanymi w reformie słowami „santa Marija” oraz jakieś wokalne melodyko w wykonaniu Karela Gota. Tydzień poprzedni krasila pieśń polska w rodzaju patriotycznej litanii o ziemi szopenów i norwidów. Co będzie za dwa tygodnie, kiedy list mój ukaże się w „Kontaktach”, dokładnie nie wiadomo, ale że będą to jakieś starocie — jest pewne.

Wyraża się w tym jakaś myśl nadrzędna, jakiś zamiar kieruje wyborem muzycznej oprawy porannej audycji w radiowej „Jedynce”. Nie mogę jednak dociec, co to, poza tym, że rodzi we mnie odczucie archaizacji, anachroniczności całej audycji, nawet wygłaszanych w niej bardzo aktualnych (i często niebanalnych) komentarzy. Zdarza się też, że załatwiająca naftaliną muzyka stwarza farsowe konteksty wiadomościom dziennika albo komunikatom gazowym, morskim i innym. I nie wiadomo w końcu, co tu ma być przebojem.

Od pacholących lat podziwiałem takich, którzy do niczego nie należeli. Imponują mi do dziś. I choć wśród znajomych niewielu posiadam takich, których stan rodowy lub majątkowy zwalnia nie tylko z obowiązku, ale nawet z potrzeby jakiegokolwiek przynależności, znam jednego, który potrafi zdobywać się na ten swoisty arystokratyzm. Sam należę do odmiany ludzkiej, która do istnienia potrzebuje udziału w pewnych wspólnotach. Nie jest ich wiele — jedna ideologiczna, jedna zawodowa (lub jej proteza) i kilka terytorialno-ekonomicznych. Spośród tych ostatnich najczęściej kontaktuję się ze Spółdzielnią Przebiegania Grochu, której dostarczam część plonów ze swego zagonu.

Od pewnego czasu zauważyłem większe niż do tej pory zapracowanie niektórych członków zarządu Spółdzielni. — Z jakiego powodu macie tyle zajęcia? — spytałem prezesa. — Kilku plantatorów dostarcza nam groch niezbyt czysty i marny — odpowiedział szczerze. — Przecież nie musicie przyjmować takiego grochu — równie szczerze skomentowałem i dodałem naiwnie: — Spółdzielnia ma przecież monopol na groch. — Właśnie — uśmiechnął się prezes — tylko że żona jednego z dostawców jest kierowniczką stołówki w szkole, do której chodzą nasze dzieci. — I to jest powód? — A drugi dostawca często jeździ do Łomży i ma wolne miejsce w samochodzie, co przy reglamentacji paliwa... Rozumie pan chyba? — Nie — odpaliłem jak głupi. — Niech pan nie udaje — roześmiał się prezes. — Życie jest życiem. I nie ma mnie co prowokować — podał mi rękę na pożegnanie. Już miałem na końcu języka: — To wszystko żadne powody, aby przyjmować byle co — ale dałem spokój.

Pocieszam się tylko tym, że w swoich zapatrywaniach nie jestem całkiem osamotniony. Jest jeszcze kilku takich, którzy nie chcą zrozumieć prezesa i jemu podobnych. Są tacy tu, za rzeką, i w Łomży, i w pewnym budynku przy Wiejskiej w Warszawie, a także w innych budynkach pod innymi adresami. Myślę, że nie jest nas wcale tak mało. Tylko jak się skrzyknąć razem. Gdyby się nam udało — to byłby dopiero przebój.

Na razie co innego mamy. Ustało już co prawda lansowanie nowych Janosików, co to pójdą po robocie w fabryce (a może służbowo) na targowisko, żeby różne dobra zabrać tym, co je mają (nieuczciwie zdobyte), i oddać biednym. Na szczęście ten serial trwał w naszej telewizji krócej od filmowego Janosika. Za to co wieczór otrzymujemy meldunki z frontu walki o równy podział naszej biedy. Wartość zakwestionowanych dóbr, kwoty osiągniętych nielegalnie obrotów, góry towarów pochodzących z kradzieży i kombinacji, a przeznaczonych do wtórego lub trzeciego obrotu handlowego, są — mimo całej inflacji — niewyobrażalnie wielkie. Słyszymy, że proceder spekulacji uprawiany jest od roku, dwóch, trzech i więcej. Wszystko to rodzi jedno pytanie: cóż wart

Stanisław Kotwica przepadł na rok już prawie, ale nie ma co się przejmować, bo jest tylko na rekonwalescencji. A mówiłem mu: nie baw się w żadne „Poślizgi”! Posadź rzyć na czymś szorstkim i rozglądaj się! Ale ten nie chciał mnie, człowieka doświadczonego i z dobrą ankietą personalną, posłuchać. No i się doigrał — obite ma boki, a (co najsmieszniejsze) szczeka mu chodzą o lasce.

Mówię publicznie z tych gipsów nie może, to ja go teraz muszę cierpliwie, przez tę przyjaźń z podwórka, wysłuchiwać. Choć się tak łatwo nie daje — jak się tylko swoim gadulstwem zakrztusi, zaraz mu szepczę nad uchem jak dziecku: a widzisz, nie chciałeś przyjaciela słuchać! Ale ten zaczyna rechotać ze śmiechu, aż mu gipsy trzeszczą, i powiada, że on teraz rozmyślanie warunkowe prowadzi! I każe mi znów słuchać swoich wykładów.

Ja zaś własne teorie też mam, swoje wiem, w pierwszym rzędzie — o ślizganiu. A nauka o poślizgach jest rozległa i urozmaicona. Szczególnie w niej miejsce eksperymentu, a w nim — najpierwsza rola dla kości ogonowej. Systematyka mówi, że poślizgnąć się można na różnych pierwiastkach: na lodzie równieśnikim, zamarzłej garbato kałuży,

zbyt wcześnie chodzić już lekko swobodnie. Musiał więc wreszcie zacząć mnie też słuchać! Już ja dopilnuję tej jego rekonwalescencji...

Kolega jego, co doświadczył postrząskania w kościach, czytał w czeskiej, gdy go składali, podręczniki ortopedii. Ja Kotwicy zaniósłem do czytania gazetki z województwa starowolskiego: przesłał i dziesięć (jest przecież regionalnym żurnalistą?). Ten zaraz, spragniony, czytał zaczął prawie na głos: „chwileczką cierpliwości i zęb traktorzysty Mirosława Zalewskiego będzie zaplombowany: „wzrost aktywności w realizacji służebnej linii jest niedostateczny i pozostaje w tyle za zaleceniami”; „nie może być ani jednego członka, który nie brałby czynnego udziału w realizacji”; „spółdzielni produkcyjna to jedyna droga do dobrobytu”; „przodujący w pracy brudzi murarski, jak widać na zdjęciu — pracę swoją wykonuje z uśmiechem na ustach”; „o działalności pana prezesa słów kilka... on jest organizatorem i inicjatorem wszelkich „popijaw” i „bibek”; „ceenna roślina — kukurydza”; „niech się wali, niech się pali, my będziemy sabotowali!”; „z chuligańskiej łączki: właściwie to nawet nie wygląda na chuligana, prawda? A jednak to chuligan. A oto koleżka. Wystarczy popatrzeć na zdjęcie, mówi samo za siebie... brrrr! I ten zabójczy wąski, co? To młody chłopak, może się poprawi po odbyciu kary”; „przodujący chłop powiatu przemawiał na Ogólnopolskich Dożynkach w Warszawie”; „dlaczego skup przebiegał opornie”; „jak uchronić się przed biegunką?”

Patrzyłem zdziwiony, z jakim Kotwica studiuję to wszystko przejęciem. Ja mu tylko powiedziałem przecież: poczytaj, żebyś wreszcie potrafił rozmawiać z ludźmi z tamtego pokolenia, żebyś ich jakoś rozumiał. Zostawiłem mu też nowe piśmko; nazywa się „Cotygodniowy Orzeł” (CO), ale po nie jeszcze przy mnie nie sięgnął.

POŚLIZGI

grzmotnięcie o konkrety

WOJCIECH WOŹNIAK



Rys. J. Kurnicki

jest system funkcjonowania państwa i prawa, który umożliwia istnienie takich zjawisk. Druga strona tego pytania brzmi natomiast: czy jest przestępstwem osiągnięcie zysków, nawet gigantycznych, jeśli są one rezultatem pracy, pomysłowości, talentu, zaangażowania?

Przebojem w tej kwestii był dla mnie reportaż telewizyjny, w którym dziennikarz postawił w stan oskarżenia prezesa pewnej spółdzielni szklarskiej w Krośnie, ponieważ ma on chętnie zarabiać więcej niż robotnik pracujący w tej spółdzielni. Nie kraść, nie malwersować, ale — zgodnie z prawem — otrzymywać wysokie wynagrodzenie za swoją pracę, którą wykonuje na rzecz tego robotnika, swojej spółdzielni (jej wszystkich członków), a w końcu i państwa, któremu spółdzielnia płaci podatki (prezes oddzielnie) i z którego zdejmuje część obowiązku zapewnienia warunków życia pewnej części społeczeństwa.

A w ogóle — diabli nadali te pieniądze. Chociaż prawdziwym przebojem lutego i tak pozostanie srebrna tysiączłotówka (2,25 dolarów USA) z wizerunkiem Ojca Świętego.

na pestę dopiero co wyprztykniętej ze śliny, na — tylekroć opisywanej — skórcie pomarańczy, na łajnie pospolitym i uroczystym; ale to wyliczanie wiedzie już za daleko... Także wypinanie miejsc stanowiących punkty nacechowane w kartografii ślizgologicznej. Ważniejsze zawsze, powiadam, są konkrety!

Stanisław K., mój przyjaciel z podwórka, tyle razy fizycznie kropnął na lodowisku, jako że trudno mu co rok zimę przeżyć bez gwizdania hokejami po tafli, ale zawsze było to grzmotnięcie sportowe. Wreszcie zdarzyło mu się i grzmotnąć inaczej — w czasie przedletnim. Mrucał wcześniej, kiedy „Kontakty” obudziły się z zeszłorocznego snu zimowego, coś o ścieżce i betonie, no i zachwianie dziarskiej równowagi dopadło go tam, gdzie się łączy (gdy spojrzysz z drugiej strony — rozchodzi) właśnie ścieżka z betonu. A co było czynnikiem, który poślizg spowodował? Mówił mi Stanisław K., że się nie przyglądał, tym bardziej że — jak twierdzi — nie czuł się na siłach przemęczać zmysłu powonienia. I wkrótce drugi raz zdarzyło mu się coś podobnego, gdy chciał

refleksje



garść ziemi rodzinnej

Tuż przed domem ustawionym w poprzek uliczki znajduje się śmietnik, a dalej — otwarte pole. Kiedyś wiodła tędy ostatnia droga łomżyńskich Żydów.

— Zanim trafił na cmentarz — wspomina Aleksandra Jodłowska, właścicielka starej żydowskiej trupiarni, zaadaptowanej na budynek mieszkalny — w tym domku otrzymywał ostatnią kosmetykę.

Trupiarnia wyposażona była w kocioł do grzania wody i stół do mycia zwłok. Czynności te wykonywał mężczyzna, gdy zmarły był mężczyzną, natomiast kobieta oporządzała ciało kobiety. Za ścianą mieściła się cmentarna bożnica, a w niej wisiało „Dziesięć przykazań Bożych”, stały stoliki i szafka z szatami liturgicznymi, które przywdziewało aż 12 mężczyzn. Gdy brakowało dwóch czy trzech, Żydzi prosili Polaków o dołączenie się do modlitw i ci ratowali rytuał... za pieniądze.

Oddzielnie byli grzebani kawalerowie, mężowie i rozwiedzeni, oddzielnie panny i mężatki, a nawet dzieci. Każdy zmarły otrzymywał woreczek ziemi ojczystej, przywiezionej osobiście lub przez rodaków z Palestyny. Wówczas rodzina płaciła za nią grabarzowi 100 złotych. Biedota szła do grobu przeważnie z woreczkiem polskiej ziemi, bo ta była najtańsza.

Zanim Żydzi przykryli zmarłego wiekiem grobowca, na usta, uszy i oczy sypali mu miazgę kamienny proszek, aby był lepszy na tamtym świecie: za dużo nie słyszał, nie mówił i nie widział. Na nagrobku obowiązkowo musiał być wyryty znak kabały: dwa gołębie, dwa kozy, szafka z książkami, dzbaneczek. Oznaczał on wspólnotę religijną, wywodzącą się od Abrahama, Izaaka, Jakuba.

Na starym cmentarzu nietrudno go odnaleźć tuż nad hebrajskimi na-

STANISŁAW
ZIELIŃSKI

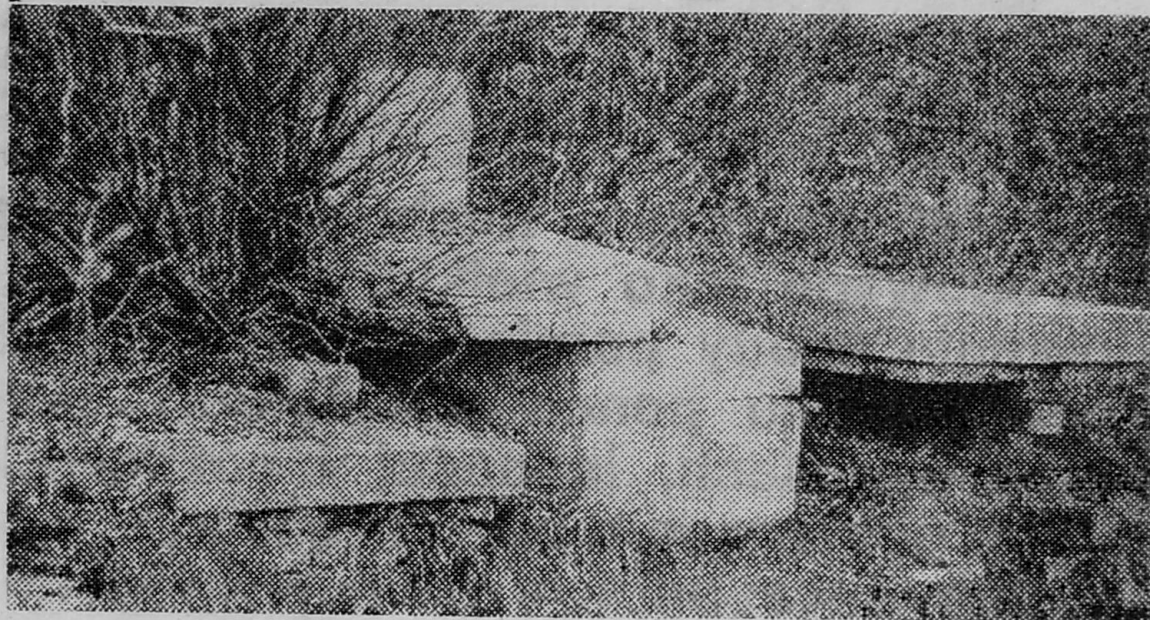
dla



pisami; trzeba tylko odgarnąć pokrzywy i inne zieleń. Do zapomnienia mieszkający obok w nowoczesnych willach ludzie dołączają swoją pogardę i lekceważenie: wyrzucają na cmentarz śmieci. Walają się tam

epitafium

Do starego żydowskiego cmentarza próżno szukać dojazdu. Taksówkarz dowiezie tylko do końca asfaltu ulicy Wąskiej i wyciągnie rękę po zapłatę. Rolnik wiozący na pole obornik wskaże na boczną uliczkę i doradzi, by dalej pójść przez podwórze. Pies przy budynkach tak się rozszczęka, że aż zatrzeszczy druciana klatka, w której jest zamknięty.



więc butelki, słoiki, stare opony i pokruszone cegły. Młodzi upatrzyli tu sobie miejsce do kopania piłki, choć teren wybolsty i szybciej można złamać nogę niż strzelić bramkę między grobowcami, a łomżyńscy rolnicy traktują ów przybytek jako rezerwuwar paszy; gdy trawa zarastająca groby nabierze ciemnozielonego koloru wpuszczają tu swoje krowy.

Aleksandra Jodłowska spogląda na prawnuczkę Krzysię, który przy rozpalonej kuchni bawi się samochodzikami, i mówi w zamyśleniu: — Nie powinniśmy tak zaniedbywać grobów ludzi, którzy kiedyś mieszkali w naszym mieście. Gdyby żyli i sami zapominali o mogiłach swoich ojców, to i nasze niedbalstwo byłoby uzasadnione. Zostali tu masowo wymordowani, więc przynajmniej ktoś z urzędu powinien zadbać o ten cmentarz — jako świadectwo przeszłości wielonarodowego miasta.

umarli nie straszą

— Najgroźniejsi są żywi. Zastanawiam się, czego szukają tutaj wieczorami. Ich piśki i wrzaski dobiegają mnie nocą. Żydzi byli zawsze bardzo grzeczni. Pamiętam, prowadzili przed wojną wiele sklepów i zakładów: przy Buczka jeden miał interes z artykułami łociovymi. Biały prowadził tartak, Cukierbrom — zakład wódek i win, a potem zapalek i tytoniu. Borzykowscy mieli waciarnię.

Często słyszę — snuje wspomnienia Aleksandra Jodłowska — że cmentarz ten nie jest zabytkiem, ponieważ liczy zaledwie 50 lat. To kłamstwo! Gdy byłam 10-letnią dziewczynką, a mam już dzisiaj 75 lat, widziałam tu już groby stuletnie; jeden z nich znajdował się zaraz za tym domem. Przez kilka lat przyjeżdżał nań jedyny ocalały potomek rodziny. Prosił nas o opiekę i o to, by cofnąć ogródek o kilka metrów bliżej domu. Do dziś leży tam kamienna płyta, a wyryty w niej napis informuje, iż spoczywa w tym miejscu Cipa Kokoszko. Żydzi lubowali się w kamiennych grobowcach.

Wiele razy zastanawiałam się nad losem żydowskiej nacji. Dlaczego tak bestialsko byli mordowani? Czy to rzeczywiście kara Boża za ukrzyżowanie Jednorodzonego? Wprawdzie w Biblii jest napisane: „Krew Jego i na was i na syny wasze”, jednak uważam, że zawiniło tylko bestialstwo Niemców. Często wspominam tę ogromną scenę barbarzyństwa. Jeździli samochodami krytymi plandeką po wszystkich wsiach i ładowali Żydów jak śledzie. Najwięcej transportów szło do Giełczyńska. Nikt dziś nie powie, ilu ich tam zginęło. Pod koniec wojny Niemcy złapali mojego krewnego. Zapędzili go, jak wielu innych mieszkańców Łomży i okolic, do rozkopywania giełczyńskich grobów i palenia zwłok. Wprawdzie już stamtąd nie wrócił, jednak przekazał wiadomość

o tych zdarzeniach pewnemu człowiekowi podczas przepędzania ich do łaźni.

żywa ziemia

Łomżyńskie getto — ogrodzone drutem kolczastym — obejmowało ulice: 22 Lipca, Giełczyńską, Senatorską, Rybaki, Wozwodzką. Na ten cmentarz tylko raz przywieźli pięciu mężczyzn i dwanaście kobiet, wszystkich w stroju adamowym. Samochód zbryzgany był krwią. Każdą ofiarę przygarniali do wykopanego wcześniej, wspólnego dołu i uśmiercali pojedynczymi strzałami. Wszystkich zakopali w jednej mogile. Przez pierwsze dni ziemia w tym miejscu ruszała się jak żywa. Jednak nie sposób już było ich odkopać i wydrzeć śmierci.



cmentarza

Żydowskie groby są też w jeziorowskim lesie. Mówił mi o nich szwagier, który w czasie wojny był na tym terenie gajowym. Strzelali do ofiar w rosyjskich okopach i natychmiast zasypywali ziemią. W to samo miejsce wywozili łomżyńską inteligencję. Leżą razem: Polacy bliżej, Żydzi trochę dalej. Pielęgniarka ze szpitala zaproponowała mi wtedy przechowanie żydowskiego niemowlęcia. Bałam się; miałam przecież swoje. Dziecko trafiło do bezdzietnej rodziny mazurskiej, zostało adoptowane i szczęśliwie uniknęło zagłady.

W czasie wojny mieszkalam przez pewien czas w Budach Czarnockich. Pewnego dnia przybiegł do mnie pasierb i powiedział, że w Łomży dzieje się coś strasznego: wielu Żydów biega po polach, a Niemcy strzelają do nich jak do kaczek. Był to dzień likwidacji łomżyńskiego getta. Chłopom z pobliskich wsi okupanci polecieli przygotować furmanki do przewozu wylapanych, między innymi, w Szczepankowie i Miastkowie. Przywieźli ich do Łomży, przenoco-

wali, a rankiem ruszył konwój do Zambrowa. Był wtedy bardzo duży mróz, ale Niemcy nie pozwolili Żydom ani ogrzać się przy chłopskich ogniskach, ani nawet podbiec obok wozów.

Opowiadał mi kuzyn, że wioził na swoim wozie Żyda, który miał bardzo ładną dziewczynkę. Chciał ją ocalić, oddać jednemu z wiozących. Konwojujący dostrzegł ów zamysł; natychmiast podbiegł, złapał dziecko i z całej siły, na oczach obojga rodziców, cisnął w śnieg.

W Kałęczynie gospodarz przechowywał latem 5-letnią dziewczynkę. Ktoś doniósł Niemcom. Przyjechali. Chłop tłumaczył, że ja znalazł i czekał, aż zgłoszą się po nią rodzice. Sądził, że uda się im wmówić polskie pochodzenie dziewczynki. Zdradził ją jednak żydowski akcent. Niemcy kazali jej zrywać kwiatki i przy tym do niej strzelali. Wołała rozpaczliwie: „Nie zabijajcie mnie!”

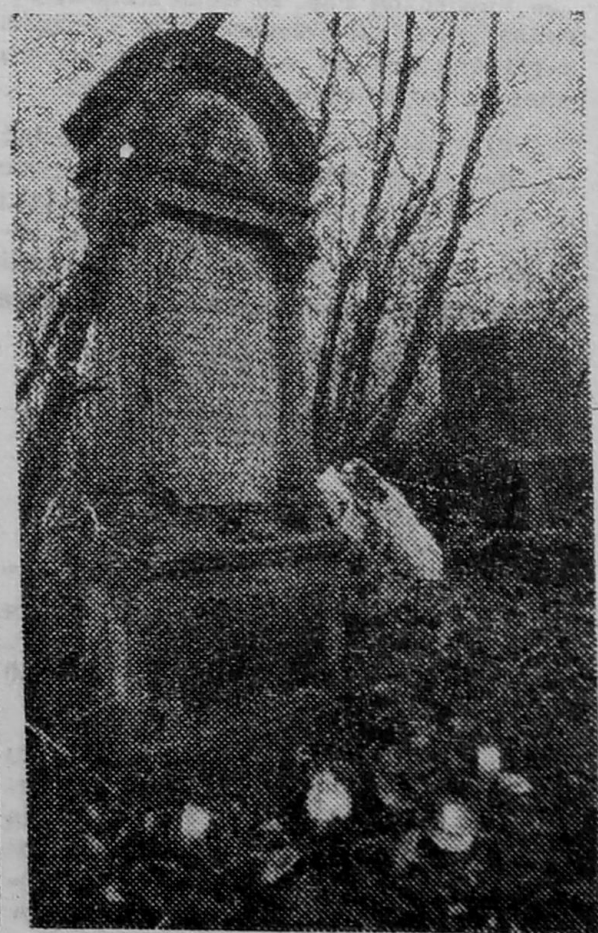
Gdy pewnego dnia przechodziłam koło cmentarza katolickiego, Niemcy prowadzili kobietę i mężczyznę. Prawdopodobnie byli to zambrowscy aptekarze. Mężczyzna niósł czapkę w rękę i szedł bardzo dostojnie. Gdy przekroczyli bramę cmentarną, przyspieszyłam krok, bo nie chciałam słyszeć strzałów, ale dobiegły mnie, gdy zdążyłam odejść zaledwie kilkanaście metrów.

schron ocalenia

— Lubiłam z kobietami chodzić do lasu na jagody. Raz patrzył otwór do schronu, a w nim cichutko grało radio. Szybko odeszłam dalej, żeby Schutzmanowa, żona polskiego żandarma, wysługującego się Niemcom, niczego nie zauważyła. Ale coś musiała dostrzec, bo potem przyjechali do mnie Niemcy, dawali 50 marek i krzyczeli, bym pokazała im to miejsce. Zawieźli do lasu. Specjalnie chodziłam innymi ścieżkami, brałam się rękami za głowę, niby dla przypomnienia, i drżałam ze strachu, by tych ludzi nie wydać. Ale jakoś dali mi spokój. Ludzie, którzy widzieli mnie jadącą z Niemcami w stronę giełczyńskiego lasu, zęgnali jako odchodząca z tego świata. Po tej przygodzie wyniosłam się na wieś i przez długi czas nie pokazywałam się w Łomży.

Gdy dziś przypominę sobie twarz tamtych wystraszonych ludzi, którzy ginęli tylko za to, że byli Żydami, i spojrzę na ten zniszczony cmentarz, coś przewraca się we mnie i serce bije mocniej z przerażenia. Czy i oni nie mogą mieć odrobiny szacunku po śmierci? Należy się im on tym bardziej, że mają swój wkład w rozwój tego miasta, bo z nim związały swój los, swoje życie, przerwane zbiorowo i niespodziewanie.

Fot. WOJCIECH SURAWSKI



11
KONTAKTY
27 III 83 r.

historia i dzień dzisiejszy



— W jaki sposób trafił Pan do Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego: zgłosił się sam, został oddelegowany czy zaproszony?

E. W.: — Zgłosiłem się sam i to z trzech powodów: reprezentuję Stowarzyszenie PAX, a więc organizację, która była jednym z sygnatariuszy Deklaracji Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego z 20 lipca 1982 roku; po drugie — uważam, że trzeba było wreszcie od czegoś zacząć, aby doprowadzić do porozumienia społeczeństwa i uświadomienia mu odpowiedzialności za to, co się dzieje w kraju; po trzecie — kierowała mną nadzieja zasadzająca się na jednym ze sformułowań w Deklaracji z 20 lipca ub.r. Jest tam powiedziane, że za sprawy kraju odpowiada nie tylko partia przy poparciu stronnictw politycznych; potrzebna jest również partnerska współpraca i współodpowiedzialność ugrupowań katolickich: PAX-u, CHSS-u, i PZKS-u. Dotychczas pamiętano o tym tylko od wielkiego święta, kiedy trzeba było oficjalnie stwierdzić, że „socjalizm w Polsce budują partyjni i bezpartyjni oraz wierzący i niewierzący”. Nie było jednak oficjalnego zapisu na temat udziału w tym budowaniu katolików. Według mnie, to sformułowanie wyraża z ręki autorytet ludzi, którzy twierdzą, że socjalizm w Polsce jest niereformowalny, i jeśli coś można dla Polaków zrobić, to tylko poza tym systemem. Tymczasem cały program Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego, zawarty we wspomnianej deklaracji, jest naprawdę szansą tego, społeczeństwo będzie wreszcie dowartościowane i stanie się gospodarzem we własnym kraju.

— W Polsce było już wiele deklaracji, równie pięknych jak PRON-owska, które w konsekwencji pozostały na papierze. Czy nie towarzyszyła Panu ta świadomość w czasie podejmowania decyzji przewodniczenia Tymczasowej Radzie Wojewódzkiej?

E. W.: — Oczywiście, w momencie przyjmowania tej funkcji nie byłem wolny od obaw, ale wynikały one raczej z faktu inercyjności społeczeństwa łomżyńskiego. Zastanawiam się, czy w tym środowisku Ruch, choć jeszcze młody i nieśmiały, ma szansę być autentycznym gwarantem odnowy życia w kraju.

— Czego Panu przybysza w tej chwili: pesymizmu czy nadziei?

E. W.: — Raczej nadziei, mimo że społeczeństwo województwa zachowuje wobec Ruchu chłodną rezerwę, o czym świadczy m.in. niewielka liczba zgłoszeń indywidualnych. W świadomości obywateli zakodowało się przekonanie, że jeśli coś akceptuje władza, musi to służyć tylko jej interesom.

— Jeżeli społeczeństwo nie ufa władzy, a ta popiera PRON, to z kim przede wszystkim układają się inicjatorzy Ruchu?

E. W.: — Władze tak do końca nie chcą się dzielić swymi kompetencjami z PRON-em. W lipcowej deklaracji padło stwierdzenie, że wszelkie najważniejsze decyzje państwowe będą konsultowane z nami. Jednak nie konsultuje się z nami przygotowywanej ustawy o radach narodowych czy organizacjach samorządowych. Oczywiście, zależy nam na błogosławieństwie władz, ale głównie stawiamy na masowość tego ruchu, czyli pragniemy układać się ze społeczeństwem.

— Powiedział Pan, że Ruch stanowi dogodną platformę prezentowania wielości poglądów; czy nie warto byłoby wyjść z nimi na forum ruchu związkowego?

E. W.: — PRON musi się zająć problemami świata pracy, aby móc go dla siebie pozyskać. Nowe związki mają w nas wiernego sojusznika. Jesteśmy ich orędownikami w kwestii

zaryzykujemy raz jeszcze

działania, ale wiem, że powinniśmy odważnie wkroczyć w ich tematykę. — PRON jako młoda i nie do końca zdefiniowana inicjatywa wywołuje też skrajne interpretacje, np. że jest to or-

jest postępowy, kto odważy się sprzeciwić rządzącym. A przecież szansą wyjścia z kryzysu jest tylko wzajemne zaufanie. Dlatego bardzo liczą się takie fakty, jak wprowadzenie do

O Patriotycznym Ruchu Odrodzenia Narodowego jako wielkiej szansie budowania zgody pomiędzy Polakami, o porozumieniu ponad podziałami, polskich szansach, jedności i różnorodności, poszerzaniu bazy rządzenia, potrzebie uczestnictwa i odpowiedzialności — z przewodniczącym Tymczasowej Rady Wojewódzkiej PRON, EDWARDEM WRÓBLEM — rozmawia Stanisław Zieliński.

ganizacja kolaborująca z rządem gen. Jaruzelskiego, zakamuflowana formata Frontu Jedności Narodu.

E. W.: — Istotnie z początku określano nas jako kolaborantów. Teraz próbuje się nazywać nas naiwnikami: „Oni jeszcze wierzą, że coś jeszcze można zrobić”. Znamyśmy powiedziała mi: „Ty przejrzyj na oczy; tu może być tylko jeden kierunek wpływów — władzy na społeczeństwo, nie odwrotnie, bo inaczej albo was zawieszają, albo posadzą o odchyły antysocjalistyczne i rozwiążą”. Inny znów stwierdził, że PRON powstał po to, by wydzignąć partię z kryzysu i uwiarygodnić w oczach społeczeństwa.

— Podaje Pan opinie innych; jakie jest Pańskie zdanie na ten temat?

E. W.: — Przez prawie dwa wieki społeczeństwo polskie nie miało własnej władzy, w wyniku czego wytworzyło się w nim przekonanie, że ten

Rady Państwa, prezydium Sejmu czy Rządu ludzi bezpartyjnych czy wręcz katolików. Oczywiście, kłopotów przez to krajowi nie ubywa; do unormowania naszych problemów czeka nas droga dłuższa, niżby się mogło wydawać.

— Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: zgłasza się człowiek i mówi: nie wiem, czy przystać do was, czy nie. Boję się, że w waszych słowach dużo propagandowej nadziei, a rzeczywistość będzie zupełnie inna. Jakich argumentów użyłby Pan, żeby go przekonać?

E. W.: — Skierowałbym go do deklaracji lipcowej PRON-u, bo to podstawowy dokument naszego Ruchu. Powiedziałbym mu: czy lepiej zaryzykować jeszcze raz, czy założyć ręce i czekać?

— Co wnosi Pan do PRON-u jako jego członka i szefa Tymczasowej Rady Wojewódzkiej?

E. W.: — Przede wszystkim wystę-

puję w nim jako członek Stowarzyszenia PAX i zarazem przewodniczący Wojewódzkiego Oddziału tej organizacji. Pragnę przeformować zasadę oceny wartości człowieka na podstawie jego pracy, a nie koloru legitymacji. Walczę także o autentyczną tolerancję światopoglądową; dużo się u nas na ten temat mówi i przy okazji myli się dwa pojęcia, w wyniku czego dotychczas do władz przeważnie trafili ludzie wyznający materializm marksistowski. Opracowywałem apel do ludności województwa, zatytułowany: „Ponad podziały budujemy porozumienie narodowe”, który — po akceptacji Prezydium i Plenum — stał się oficjalnym dokumentem. Uczestniczyłem też w przygotowaniu programu działania. Do moich obowiązków należy opracowywanie tematyki posiedzeń Tymczasowej Rady Wojewódzkiej.

— Jakie jest miejsce katolickich działaczy świeckich w PRON-ie?

E. W.: — Każda organizacja katolicka wnosi do PRON-u coś ze swego programu działania. My „paxowcy” stawiamy przede wszystkim na poszerzenie bazy rządzenia państwem o wszystkich obywateli, myśląc głównie o bezpartyjnych i katolickich. Uważamy bowiem, dotychczas nie był wykorzystany potencjał ludzi, którym trzeba przecież dysponować. Chcemy też przywrócić te wartości, które zagubiły się w latach kryzysu, np. ofiarną pracę dla dobra Ojczyzny, miłość do bliźnich. Są one obecnie tak potrzebne. Jak mieszkanka, ubranie i buty. Formuła PRON-u stwarza możliwości współdziałania ludzi i organizacji również katolickich dla wspólnego, nadrzędnego celu, jakim jest dobro Ojczyzny. Jest to tzw. jedność w różnorodności, bo — według mnie — bez sensu byłby ruch, w którym wszyscy myśleliby jednakowo i to samo do niego wnosili.

— Czy działacze PRON-u mają już koncepcję wyborów narodowych organów przedstawicielskich?

E. W.: — Koncepcji jeszcze nie mamy, choć myślimy nad tym, aby wybory były autentyczne i demokratyczne. Według mnie, wybory do Sejmu i rad narodowych, które chyba muszą się odbyć w przyszłym roku, będą sprawdzianem tego, na ile społeczeństwo jeszcze raz zaufało władzy; odpowiedzą również na pytanie, czy PRON wywiązał się z przyjętego na siebie obowiązku.

— Tyle razy się mówiło: stawiamy na młodzież. PRON, przynajmniej na razie, skupia nestorów.

E. W.: — Młodzież jest najbardziej nieufna. Wynika to chyba stąd, że w przeważającej mierze należała do „Solidarności”. Żadna przynależność nie może mieć charakteru obligatoryjnego, bo wówczas zabija się i autentyczność, i zapal. Trzeba pozostawić ludziom, także i młodym, szansę wyboru organizacji czy związku. PRON mógłby stanowić pomost porozumienia między nimi. W dobie obecnego kryzysu część młodzieży niejasno widzi swoje miejsce w życiu państwa i narodu. Jest obrażona za delegalizację związków zawodowych. Nie ufa więc i takiemu ruchowi, jak PRON, i nie bardzo jeszcze wierzy, że będzie on zdolny przełamać stereotypy w myśleniu i rządzeniu. Młodzież w znacznej mierze zawiązała to myślenie do spraw mieszkania, ubrania czy wyżywienia i na ich podstawie osądza, czy coś się zmienia na lepsze. Nestorzy natomiast nie czekają, aby coś im dano; nie chcą siedzieć z założonymi rękami, bo wiedzą, że od każdego z nas zależy czas wyjścia z kryzysu. Pokolenie starsze pamięta trudne lata po zakończeniu II wojny światowej. Byliśmy wtedy w o wiele gorszej sytuacji, ale dzięki wysiłkowi całego narodu wyszliśmy z niej zwycięsko.

— Serdecznie dziękuję za rozmowę.

Fot. GABOR LÖRINCZY



wypisy z historii

■ 20 III 1932 r. ukazał się w Łomży pierwszy numer „Iskierki”.

■ 18 III 1944 r. oddział „Konwy” rozbił we wsi Wychodne posterunek żandarmerii niemieckiej. Zginął jeden żandarm. Partyzanci zdobyli 20 karabinów i 4 pistolety.

W marcu 1944 r. grupa Kedywu AK stoczyła w pobliżu wsi Jabłoń-Dobki zaciętą walkę z żandarmerią niemiecką. Zginął wówczas zastępca komendanta żandarmerii stacjonującej w Wysokiem Mazowieckiem Tego samego dnia Niemcy rozstrze-

lali 96 Polaków i spalili wieś Jabłoń-Dobki.

■ 25 III 1945 r. ukonstytuowała się w Łomży Miejska Rada Narodowa. Pierwszym burmistrzem został Stanisław Krzymkowski.

■ 24 III 1946 r. Konferencja Powiatowa w Wysokiem Mazowieckiem wybrała na I sekretarza KP PPR Antoniego Kozłowskiego.

23 III 1947 r. — na II Powiatowej Konferencji PPR w Łomży — sekretarzem KP został Władysław Lisiecki. Łomżyńska organizacja PPR liczyła wówczas 373 członków.

■ W marcu 1948 r. Rejonowy Urząd Telekomunikacyjny w Białymstoku przekazał do użytku — zmontowaną sposobem gospodarczym — centralę międzymiastową o 50 nu-

merach. W tym czasie została zakończona odbudowa linii telefonicznej Białystok-Warszawa.

■ W marcu 1948 r. powstały na Białostocczyźnie Państwowe Ośrodki Maszynowe (POM). Pierwszy POM utworzono w Olecku.

■ 18 III 1941 r. w powiecie oleckim zakończono — pierwsze w województwie — podstawowe kursy czytania i pisania dla dorosłych.

■ 23 III 1960 r. obrady WK FJN zainaugurowały obchody 1000-lecia Państwa Polskiego na Białostocczyźnie.

■ W marcu 1968 r. w Zakładach Przemysłu Bawełnianego „Fasty” została uruchomiona pierwsza w prze-

myśle włókienniczym PRL drukarnia filmowo-rotacyjna.

■ 20 III 1975 r. laureaci regionalnych konkursów rolniczych 1947 i otrzymali odznaczenia państwowe oraz wyróżnienia i dyplomy. Członkowie miejscy uzyskali rolnicy powiatów: łomżyńskiego, elckiego i grajewskiego. W konkursie „Gmina — mistrzem gospodarności” najlepsze wyniki osiągnęły gminy: Zambrow, Knyszyn, Brańsk, Rajgród i Dąbrowa. Z 1568 wsi uczestniczących w konkursie „Wieś białostocka gospodarna i kulturalna” największą aktywność wykazali mieszkańcy powiatów: grajewskiego, zambrowskiego i goldapskiego. 1547 gospodarzy otrzymało tytuły „Mistrza produkcji rolnej”.



inspekty

Drewnianą skrzynię bez dna, nakrytą oknem — która służy dziś ogrodnikom do produkcji rozsady, uprawy wczesnych roślin lub tych, które mają wydłużony okres wegetacyjny — wynaleźli już Rzymianie. Stosowali wówczas dwa rodzaje inspektów: ciepłe, ogrzewane nawozem i zimne, służące do hartowania roślin przed wysadzeniem do gruntu. Przyspieszniki ogrodnicze rozpowszechniły się w całym imperium. W hibernacula plantarum, uprawiano rośliny przez cały rok.

W średniowiecznych klasztorach cystersów i benedyktynów sztuka pielęgnowania rozsady również nie była mniem obca. Stosowali oni inspekty drewniane — ciepłe i zimne.

Flamandom zawdzięczamy tzw. inspekty wędrowne, a więc ustawiane kolejno nad różnymi roślinami. Sposób takiego przyspieszania wzrostu roślin wprowadził oni już w XVI wieku. Wymyślili i także przyspieszniki jedno- i dwu-spadowe.

Wiek później Francuz Dupont zastosował w inspektach ogrzewanie biologiczne, jako wynik fermentacji słomy lub liści. Osiemnaście stulecie zaowocowało w tej dziedzinie nowoczesnymi szklarniami. W 1710 r. w Lejdzie powstała pierwsza z nich; w sześć lat później — podobne, ale ogrzewane gorącą wodą. Pod koniec XVIII stulecia pożądane temperatury w szklarniach otrzymywano przy pomocy pary. W połowie XIX wieku francuski ogrodnik, Carbonnier, zastosował w szklarniach automatyczną klimatyzację.

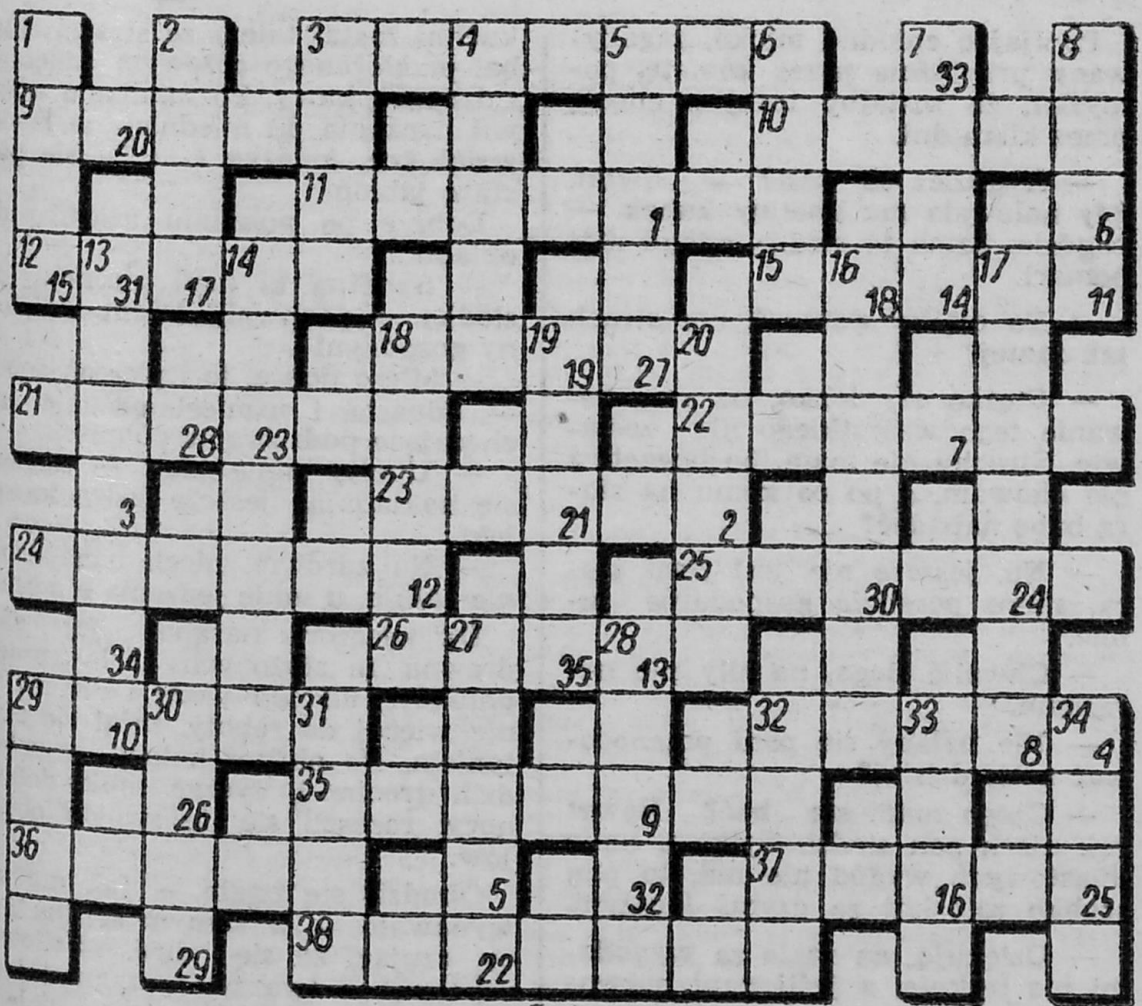


jak zważyć dąb

Dla botanika, który bada wydajność roślin, ich ważenie jest niezbędne. Nie ma problemu, gdy chodzi np. o żdźbła kukurydzy; gorzej jest ze stuletnim dębem.

Naukowcy nauczyli się ważyć drzewa bez wyrębywania się wykopywania ich z podłoża. Na przykład

botanicy białoruscy określają masę korzeni drzewa pod ziemią przy pomocy baterijki (od kieszonkowej latarki) i galwanometru. Na podstawie spostrzeżenia, że roślina lepiej przewodzi prąd niż gleba, zbudowali elektronową wagę. Jeśli przylączyć jedną elektrodę baterijki do podstawy drzewa, a drugą uziemić w kilku punktach wokół niego, korzeniami popłynie prąd. Znacznie szybciej będzie on pokonywać te odcinki, gdzie jest więcej korzeni. Przy pomocy wyprowadzonego przez uczonych wzoru — wskaźniki galwanometru łatwo zamieniają się w kilogramy masy drzewnej.



Po rozwiązaniu krzyżówki, litery z krótkich pism ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione w kolejności od 1 do 35, utworzą przysłowie perskie.

POZIOMO: 3) solenizant z 4 listopada, 8) na oku lub na stawie, 10) wampir, 11) niezupełny, niecałkowity mrok, 12) pogiębiarka rzeczna, 15) paryski rzeźmistrz, 18) brylowała w filmie „Królowa Krystyna”, 21) wydawca, 22) arbiter, 23) znana operę Rachmaninowa, 24) młoda roślina wyrosła z nasienia, 25) stręcha dna mórz między litoralem a abisosem, 26) na maszcie, 29) potrawa nie dla jarosza, 32) wodny transport drzewa, 35) zapieczętowanie, 36) dawny instrument muzyczny, charakterystyczny dla smyczkowców, 37) niejedna w mieszkaniu, 38) przyjęta pozycja ciała, poza.

PODŁOŻE: 1) bieg, nurt wody, 2) dolna, przylegająca do stepki wewnętrzna część kadłuba statku wodnego, 3) niejedna w atlasie, 4) jedno z podstawowych pojęć matematycznych, 5) droga wycięta przez las, 6) szpilecznica, amerykańska bylina z rodziny lilowatych, 7) pierwsza śpiewaczka opery, 8) stop miedzi z innymi metalami, 13) rodzaj żywej gleby, 14) pleniadze, którymi w danej chwili można dysponować, 16) fortele, wybieg, 17) figura akrobacji lotniczej, 18) holerera, Piza, 20) postać, 27) kamień piekielny, 28) miasto i największy port we Włoszech nad Morzem Liguryjskim, 29) uroczysty strój sędziów, 30) ojciec żony lub ojciec męża, 31) ciepła sieć pigołona, 32) ryba z rodziny karpowatych, 33) użytek zielony, 34) dawniej stał na ciele gromady wiejskiej.

Wśród Czytelników, którzy nadesła prawidłowe rozwiązania pod adresem redakcji w terminie 10-dniowym, rozlosujemy nagrody książkowe.

(HCL)

leśny balsam

Wielu chorych ludzi czuje się w lesie znacznie lepiej, a niektórzy z nich całkowicie po leśnej kuracji zdrowieją. Tajemnicę leśnego lekarstwa znamy już od dawna. Polega ona na tym, że fitocydy — substancje wydzielane przez rośliny — skutecznie sobie radzą z bakteriami chorobotwórczymi.

Uczni postawili następujące pytanie: czy nie można by tym uzdrowicielem zasiedlić naszych mieszkań? Po kilku latach udało się wydzielić z sosny odczyn zawierający aktywne biologicznie substancje.

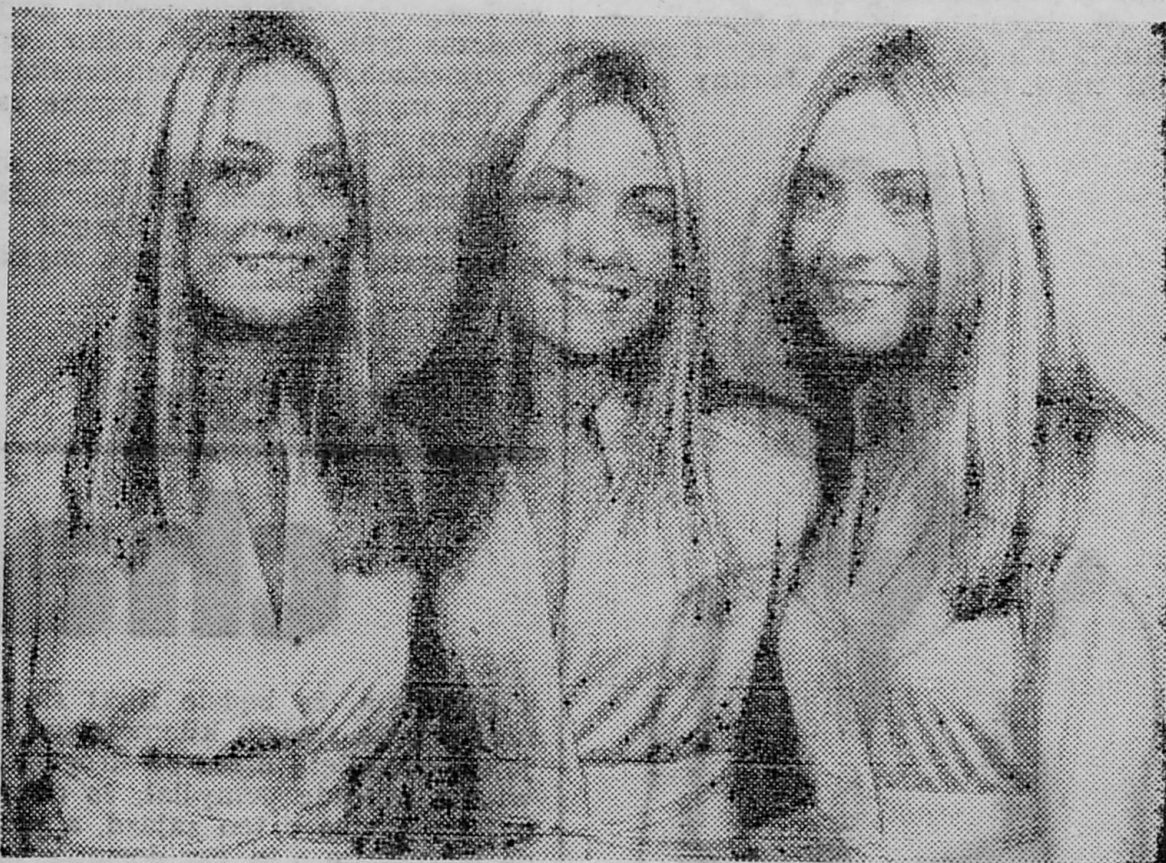
Sporządzono z nich pastę, którą nazwano leśnym balsamem. Jeśli nią posmarować podłogi w pomieszczeniu, ilość chorobotwórczych mikroorganizmów zmniejsza się 2—3-krotnie.

DESERY

blok czekoladowy

Kostkę margaryny rozpuścić w rondlu z 25 dkg cukru. Zagotować. Wsypać 3 łyżki kakao i dodać do masy 4 łyżki wody. Przetudzić. Z 25 dkg kruchych ciastek połowę dokładnie rozkruszyć (można przepuścić przez maszynkę), resztę wsypać do masy. Starannie wymieszać, dodając porcjami 25 dkg mleka w proszku. Przygotowaną masę przełożyć do niskiej, długiej foremki, wyrównać powierzchnię łyżką i wystudzić. Kto ma, może dodać bakalie — rodzynki, orzechy, wiórki kokosowe, figi oraz trochę pokruszonych wafli. Dla lepszego smaku wlewamy kilka kropli olejku cytrynowego lub pomarańczowego.

ciepłe - zimne



czyli o kolorach

Malarze znają doskonale różnicę między ciepłą a zimną barwą. Ciepła niebieska ma odcień czerwony, podczas gdy zimna niebieska — siny; żółta osiągnie ciepły ton z domieszką farby czerwonej (użyta odcień pomarańczowy), natomiast wszystkie cytrynowe wywołują wrażenie zimna. Czerwony kolor, który innym farbom nadaje ciepłych tonów, może być sam zimny, jeśli ma zabarwienie niebieskie.

Zasada doboru kolorów do swej urody nie jest jeszcze dziś powszechnie stosowana. Należy pamiętać o tym, że właścicielki zimnych czy ciepłych twarzy powinny dobierać w takich samych tonacjach odzież. Je-

śli twarz ma naturalne lekkie rumieńce i jest otoczona ciemnobłond włosami (twarz ciepła), jej posiadaczka musi nosić ciepłe kolory. Rudawe blondynki doskonale wyglądają w sukniach o szmaragdowym tonie. Błada twarz (zimna) najlepiej wypada w błękitach ze srebrzystym połyskiem. Jasne blondynki mają również „zimne” oblicza i najlepiej wyglądają w jasnych, delikatnych różach, niebieskościach i zimnym lilu. Brunetki o włosach czarnych, bladych twarzach i pełnych, czerwonych ustach świetnie się prezentują w kolorach ciemnych z odcieniem wiśniowym lub pomarańczowym.

PÓŁ WIEKU TEMU

egzamin po chińsku

Mandaryn, czyli wysoki urzędnik chiński, nim przywdział niebieski płaszcz i otrzymał dyplom, musiał przejść surowy egzamin. O stopniu trudności egzaminu świadczy przypadek sześćdziesięcioletniego

kandydata na mędrca, który dwa-ście razy odpadał podczas intelektualnej próby.

Egzaminy odbywały się w różnych miejscowościach. Z dalekich stron wędrowały tłumy mężczyzn, by stanąć przed obliczem komisji. Okolice takiego miasta wyglądały wówczas jak obóz wojenny, bowiem każdy Chińczyk przybywał z własnym namiotem i rozbił go na wyznaczonym placu. Profesorowie rozdawali zadania, a uczniowie zamykali się w swych namiotach i samodzielnie je rozwiązywali. Egzaminy trwały po kilka tygodni.



Przeglądając prasę zauważyłem u naszych publicystów przekorną prawidłowość: ilekroć coś lub ktoś cieszy się zainteresowaniem i popularnością wśród młodzieży, natychmiast staje się celem zacieklej ataków i krytyki w środkach masowego przekazu. Mnożące się ostatnio jak grzyby po deszczu artykuły atakujące w sposób niewybredny muzykę rockową i karate doprowadzają mnie do szewskiej pasji.

Napastliwy ton i ośmieszanie ludzi próbujących nauczać i propagować sporty Dalekiego Wschodu mają swoje źródło w osobistych urazach i porachunkach paru warszawskich dziennikarzy z nowym zarządem Polskiego Związku Karate. Nie wiem natomiast, czym kierują się ci, którzy w rocku po polsku widzą samo zło.

Przyjazd zespołu „Maanam” lub zawody Tae Kwon Do elektryzują młodą pokolenie i gromadzą tyle publiczności, że nie mieści się ona w dostępnych salach w Łomży. W czasie gdy mówi się o braku zainteresowania młodzieży cokolwiek, o postępującej degeneracji jej aktywności, tylko te zjawiska są w stanie wywołać u niej prawdziwe przeżycia.

Parę lat temu wołano wielkim głosem o odnowę życia młodzieży. Wymyślano i na siłę wciskano nowe formy pracy z młodzieżą. Być może rodzinne muzykowanie i ringo są podparte całą gamą argumentów wprost z teorii muzyki i sportu. Pomimo to akcja uszczęśliwiania na siłę nie znalazła odzewu wśród tych, dla i za których została wymyślona.

Zjawisko spontanicznego i bezinteresownego udziału młodzieży w no-

karate w rytmie rocka

wym ruchu muzycznym i karate jest zastanawiające. Nie dla wszystkich jednak. Rutynowe podejście i biurokratyczne zasady działania wielu animatorów życia kulturalnego nie pozwalają szybko reagować na zapotrzebowanie społeczne. Pamiętam czasy, gdy judo fascynowało swoją odmiennością od wszystkiego, co znaliśmy z podwórka. Wiele lat minęło, zanim zrozumiano, że tego spontanicznego ruchu młodzieży (dziś już dobrze po trzydziestce) nie da się zlekceważyć. Ale było już jednak za późno.

Skąd u nas ten dystans, czyli brak

zrozumienia dla nowych zjawisk kulturowych? Z obserwacji własnych i kolegów wiem, że — na przykład — instruktor karate traktowany jest zupełnie niepoważnie w odróżnieniu np. od instruktora siatkówki czy piłki nożnej, mimo że na zajęcia pierwszego przychodzi 300 osób (następne 300 czeka w kolejce), natomiast drugi nie może skompletować zespołu.

Socjologowie dawno już zauważyli, że masowe widowiska (a do takich należy zaliczyć zawody sportowe i koncerty rockowe), poważnie wpływają na mentalność i zachowanie się młodzieży. Kiedy widzą stając się aktywnym uczestnikiem spektaklu, gdy się z jego bohaterami utożsamia, my nie zadajemy sobie żadnego trudu, aby to wykorzystać.

Z rozmów z młodymi ludźmi wiem, że głównymi motywami ich uczestnictwa w zawodach karate i koncertach rockowych jest chęć kontaktu z innymi ludźmi oraz potrzeba przeżyć estetycznych i emocjonalnych. Ich zaspokojenie nastraja widzów do aktywnego działania.

Twierdzenie, że karate i rock jest uniwersalnym lekarstwem na wszystkie problemy, byłoby nonsensem. Sport powinien jednak mieć w tym względzie wiele do powiedzenia. Niestety, i ta szansa nie jest w pełni wykorzystana. Niewiele ludzi wie, że w naszym województwie w ciągu roku odbywa się kilkadziesiąt różnego ro-

dzaju zawodów sportowo-rekreacyjnych. W samej Łomży nie ma tygodnia, w którym nie odbyłyby się jakieś zmagania: od międzyszkolnych i międzyszkolnych aż do wychowawczych w II lidze. Większość z nich nigdy nie była oglądana przez kibiców, gdyż organizatorzy dokładają wszelkich starań, aby odbyły się one w ścisłej konspiracji. Wspaniałe boje lekkoatletów, wśród których znajdują się mistrzowie Polski, czy kajakarek z kadrowiczkami kraju na czele — oglądają tylko ich opiekunowie i rodzice.

Nie wiem, czy zawody bez odpowiedniej oprawy i zadowalającego poziomu organizacyjnego są w stanie wywołać u zawodników i przypadkowych widzów uczucia, o których mowa wyżej. Baron Pierre de Coubertin, twórca współczesnego sportu i także wspaniałych wzorców olimpijskich, nie byłby zachwycony. Zabójne namiastki plakatów, informujące (oby tylko) o tym, co, gdzie, kiedy, organizacja z „marszu” i brak tradycji dobrego widowiska masowego, nie przyczyniają się do popularności sportu. Cena za rutynę jest wysoka.

Hasło „Reklama dźwignią handlu” straciło może sens w dobie kryzysu gospodarczego, nie straci natomiast nigdy w sporcie. Reklama szansą sportu.

MACIEJ MACIEBOCH

Przesunął z niechęcią gałką potencjometru, szukając innej stacji. — W dziesiątą rocznicę ślubu drogiemu... — głos spikera przypominał o tym, że dokoła samochodu toczy się życie, w którym ludzie obchodzą dziesiąte czy dwudzieste rocznice ślubów, otrzymują telegramy, przyjmują gości, a rozmowy przy stole zaczynają od słów: „Pamiętasz, kochanie...”

„W dziesiątą rocznicę ślubu” — tłukło mu po głowie, a przed oczami miał nagie plecy Joanny i jej

ogromne, wypełnione przerażeniem, oczy nad obejmującym ją ramieniem tamtego.

Zanim otworzył wtedy drzwi łazienki, słyszał jej śmiech. Idąc w stronę tego śmiechu czuł, narastające wciąż, dziwne przerażenie; wiedział, że z chwilą naciśnięcia klamki nieuchronnie zawiąże się cały świat. Krzyk, potem dotarł do niego, zmusił go już tylko do gwałtowniejszego przyciśnięcia pedału gazu. Podczas tych ostatnich kilku dni w zajazdach, hotelach i schroniskach z ulgą myślał o tym, że jeszcze cały urlop przed nim.

Zwolnił, gdy zauważył przed sobą dużą, żółtozieloną tablicę: „Zajazd czynny całą dobę”. Skreślił w piaszczystą, nierówną drogę, myśląc

JADWIGA
KULCZYK



Przyniósł neseser z bagażnika, porozkładał koszulę, wymyślił się nad blaszaną miednicą i, w oczekiwaniu na kolację, położył — na stosie pierzyn. Przymknął oczy, ujrzał znowu nagie plecy Joanny i umięśnione ramię na ich białym tle.

Jajecznicę smakowała mu jak w najlepszym lokalu, mocno wędzone skrawki boczku chrupały wspaniale, a herbata pachniała miętą i lipą. Gospodyni jadła powoli, maczając chleb w gęstej śmietanie. Najedzony, czując przyjemną ociepłość, chciał rozpocząć rozmowę, ale kobieta, pokiwała głową, zrozumiem głową, rzekła: — Niech się pan kładzie z Bogiem, bo widzę, że marzy się panu pierzyna.

Ranek był wspaniały. Jeszcze oknem ciągnął lekki chłód, ale słodkie zalewało już blaskiem cały pokój. Na podwórzu gdakały kury, przekrzykiwały się kaczki i gęsi. W

chata za wsią

z niechęcią, że będzie tłukł się po niej jeszcze siedem kilometrów. Mijając, odsunęła nieco od drogi, niewielką zagrodę pomyślał, że dobrze byłoby spytać o ten zajazd, a przede wszystkim o to, czy dostanie tam nocleg, bo może lepiej wrócić do szosy i szukać następnej kolorowej tablicy.

Na podwórzu nie było nikogo. Pies ujadł zawzięcie i szarpał dławiający go łańcuch, a przestraszone ptactwo rozbiegło się dokoła gdacząc i tłukąc skrzydłami. Stał niezdecydowany. „Może są w polu” — pomyślał i zrobił kilka kroków w stronę furtki.

— A co tam, zgubił pan coś? — usłyszał za plecami. Odwrócił się. Wysoka, żyłasta kobieta, uśmiechając się do niego przyjaźnie, wycierała ręce w króciasty fartuch.

— Dzień dobry. Przepraszam że przeszkadzam. Czy ten zajazd tam za wami jest dobry?

— Ja na zajazdach się nie znam, ale co ma być zły, skoro tyle ludzi tam się garnie.

— To pewnie noclegu nie dostanę?

— Chyba nie. Nie dawniej jak koło południa ludzie z małymi dziećmi stamtąd wracali, bo spania nie ma. A pan z daleka?

— Z Warszawy.

— Z Warszawy — pokiwała głową. — Sam pan się tłucze po świecie?

— Urlop mam, pogoda ładna, szkoda siedzieć w mieście.

— I pewnie. To może mleka się napije?

— Chętnie, jeśli pani poczęstuje.

Kobieta zmiotła fartuchem z pocierzanego stołu okruchy. Siadł na lekko chyboczącej się ławie i wystawił twarz do słońca.

Popijając chłodne mleko, zagadywany przyjaźnie przez kobietę, pomyślał, że zostałby tutaj z chęcią przez kilka dni.

— A gdzież to wasi? — spytał, gdy nalewała mu kolejny kubek. — Nigdzie. Sama tu siedzę, odkąd mój pomarł.

— To ciężko wam. A nie strach tak samej?

— Ciężko czy lekko, na zmarnowanie tego wszystkiego nie zostawię. Strachu nie mam, bo bogactwa nie chowam, a po co komu na starą babę napadać?

— No, jeszcze nie jest pani stara, skoro poradzić gospodarce umie.

— Chwalić Boga, na siły nie narzekam.

— Nie bałaby się pani przenocować mnie dzisiaj?

— Czego mam się bać? Nawet rok niech pan siedzi. Tylko u mnie miastowych wygod nie ma, to pan szybko zatekni za czymś lepszym.

— Dziękuję, na razie za wygodami nie tęsknię, a jeśli pani pozwoli, zatrzymam się na kilka dni.

— No i dobrze! To pokażę panu izbę.

Wszedł za nią do obszernej kuchni, pachnącej wędzonką i dymem, a potem — do bielonego pokoju, w którym naprzeciw drzwi wisiał duży obraz, przedstawiający Ostatnią Wieczerzę, ozdobiony zeschłymi palmami i wiankami.

— No i co, dobrze będzie?

— Wspaniale!

— Niech się pan rozgości. Mycie jest w rogu, studnia na podwórzu. Ja idę kończyć obrządek. Kolacja będzie niedługo — wyszła do kuchni, a za chwilę usłyszał jej głos, nawołujący kury w obejściu.

kuchni zastał talerz ze stosem chleba, przełożonego różowym mięsem i dzbanek kawy. Po śniadaniu wstał naczynia do miednicy na ławie, wziął koc, książkę i udał się pod starą jabłoń.

Dobrze po południu usiedli do obiadu.

— Świetna ta pani pieczeń, a słodka — pochwalił talent kulinarny gospodyni.

— Mięso dobre, to i pieczeń dobra — odparła i uśmiechnęła się, zachęcając podsuwając półmisek.

— Utuczy mnie pani — zaśmiał się nakładając jeszcze jeden kawałek.

— Na zdrowie, niech pan sobie nie żałuje, u mnie jedzenia nie brak.

Do wieczora narabiał jej stós drewna ze złożonych koło szopy pniaków, nanosił wody i nie mając nic więcej do roboty, zajął się czytaniem. Po obfitej kolacji pogawędzili trochę i, życząc sobie dobrej nocy, rozeszli się do swoich pokoi.

Obudził się nagle — jak mu się wydawało — w samym środku nocy, czując, że się dusi. Usiłował zepchnąć z twarzy przygniatający ciężar. Szarpał się całym ciałem, próbował usiąść, ale nogi miał nieruchomione, jakby przywiązane rzemieniem. Topił się we własnym pocie, darł rękami pościel i rzeźbił. Wreszcie stracił przytomność.

Nakarmiwszy rano drób i króliki, kobieta weszła do pokoju z obrazem Ostatniej Wieczerzy. Pozdejmowała z gościnnego łóżka pierzynę, na ostatniej przywlokła ciało do stołu, z trudem wciągnęła je na blat, zdjęła zębami bieliznę nocną i zaczęła sprawnie ewiertować.

Ten dobrze starszy od poprzedniego — narzekała — na pieczeń się nie zda, ino na kiełbasę i mielone.

Rys. S. Kędziela

niesamowitość i sensacja



wypisy

● Na górze nad Narwią przy moście stał zamek, którego szczątki z wieży murowanej i fundamentów rząd pruski, troskliwy o nasze zabytki, uprzątnąć nakazał i dziś żadnego śladu nie ma. Mieszkańcy na wałach i w środkowej rozległości, i na spadziści się zbóż i kartofle. Obeszerne głębokie fosy znacznie zasypały zostały. Gdzie był most zwodzony, poznać jeszcze można, (Prusacy byli tu od 1796 do 1807 r.).

● W zamku tutejszym często przemieszczali książęta mazowiecy i królowa Bona, o której w mieście jest następujące podanie: w czasie bytności królowej król Zygmunt w nocy przyjechał i gdy straż dla późnej i ciemnej pory nie chciały go do zamku wpuścić, musiał król z dworem w mieście zanoć. Dom, w którym noc przebył, był libertonu (uwolniony od powinności i zależności).

● Po śmierci Zygmunta Augusta prowadzone zwłoki z Tykocina z wielką okazałością d. 10 września 1573 r. złożone zostały w zamku wiskim, skąd po odprawionym nabożeństwie udano się w dalszą drogę do Krakowa.

● W mieście tem Howski, kasztelan wiski, obwiniony o bezprawia i zabójstwa, w r. 1582 z rozkazu króla Stefana Batorego na rynku ścięty został.

● Z aktu d. 23 listopada 1760 r. okazuje się, że w wieży przy zamku będącej cały był zły, w dwóch częściach od wiatru obdarty, na dole (była) zawalona, a na piętro, dla zniszczonej schodów, wejście niepodobna, tak że skazani kary odsiedzieć nie mogli.

● Z zabytków dawnych, jako świadek różnych klesk i nieszczęść miasta, pozostał tylko kościół murowany. W nim znajdowała się chorągiew pod Wizną Szwedom zabrana, która w r. 1820 odesłana została do Warszawy.

● Z czasów morowego powietrza jest następujące podanie. W okolicach Wizny grasowała morowa zaraza. W tym czasie przyszło do miasta dwóch sitarzy, których mieszczanie uważając za zapowietrzonych, zaopatrzeni w długie dragi, na rynku wokół z daleka obstąpili, a wykopawszy zaraz dół, temyż dragami do niego napędzili i wrzucili, następnie zakopali. Lat temu około 40, za burmistrza Sawickiego, przy plantowaniu rynku natrafili na dół, w którym znalezione zostały kości dwóch ludzi zasypanych. Opowiadanie przeto sprawdza się.

(„Miasto Wizna, Przyczynki do opisu kraju przez J. Jarmutowski”, „Biblioteka Warszawska”, t. III, 1884 r.)



miasto utracone

Sławny gród mazowiecki z połowy XI w. wysunięta najdalej na północny-wschód kasztelania, strażnica, miejsce przepraw przez Narew. Kto zliczy zbrojnych, próbujących — niestety, niekiedy z pomyślnym skutkiem (Litwini, Krzyżacy, Szwedzi, Rosjanie, Niemcy) — wdrzeć się do tego miasta, zacnych gości podejmowanych tu z honorami, przybywające z daleka karawany kupców, warsztaty utalentowanych majstrów, domy okazałe? Kto przypomni dzieje dumnej Wizny, wskrzeszy pamięć o pokoleniach sprzed wieków, odtworzy dawny wygląd, opowie stare legendy?

Póki co, pięknie się kłaniam aktualnym mieszkańcom i miłośnikom gminnej Wizny, w tym — jeśli dziadek mówił prawdę — także dalekim krewniakom. A godzi się przypomnieć, że z ziemi wiskiej wywodzą swój ród jeszcze: Rakowscy, Truszkowscy, Makowscy, Grądzcy, Karwowscy, Janczewscy, Kurczowie i Kuczewscy, Borowscy, Bagińscy, Trzaskowie, Jaczyńscy, Mieczkowskcy, Supińscy, Wagowie, Konopkowie, Glińscy... Dużo nas, a jakby nikogo nie było.

szczęście było blisko

„Wyniosłe i zdrowe położenie miasta przy zbiegu dwu rzek wywołało zamiar rządu pruskiego (po 1795 r.) wybrania Wizny na stolicę departamentu. Brak gmachów potrzebnych na pomieszczenie władz i łącznie zabudowanie miasta przeszkodziły wykonaniu zamiaru. Były już przygotowane plany regulacji i odbudowy miasta.”

Tyle „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego...” z 1893 r. Niestety, stolicą departamentu w czasach pruskich został Białystok, a po traktacie tylżyckim 1807 r. — Łomża. Nikt już później nie wpadł na pomysł umieszczenia tu choćby siedziby władz powiatowych; kolejne wojny powodowały niespodziewane zniszczenia, a odbudowa ślimaczyła się latami.

dramat miłosny w Borzejewie



23-letni czeladnik młynarski, Ferdynand Meksz, zapalał gwałtowną miłością względem 19-letniej, urodziwej, posażnej i dosyć inteligentnej córki swego pryncypała, Berty Strudel. Rodzice panny nie chcieli zezwolić na związek małżeński, uważając go za mezalians pewnego rodzaju. Odmówili więc stanowczo swego zezwolenia, a nawet zagrozili zakochanemu usunięciu od obowiązku.

Młodzieniec jednak nie tracił nadziei, wiedział bowiem o pewnym manewrze, dość nawet często w takich razach praktykowanym, a prowadzącym do celu, pomimo oporu rodziców, byleby pozyskać względy i zaufanie swojej boginki. Gdy zaś i ów sposób zawiodł go, postanowił rozpacz swą okupić przelaniem krwi obojga — zabójstwem i samobójstwem. Zaopatrzywszy się w rewolwer wszedł do pokoju sypialnego ukochanej i dał dwa strzały, skierowane w brzuch: Gdy ta upadła, zalewając się krwią, zabójca wymierzył trzeci strzał w skroń i padł trupem na miejscu.

Godnym napiętnowania jest postępek rodziców, którzy przez ohydne skapstwo, zamiast wezwać lekarza na miejsce, powieźli córkę niebezpiecznie raną do szpitala łomżyńskiego po pełnej wybojów drodze na przestrzeni wiorst 15. Obecny stan zdrowia Berty jest bardzo poważny, choć nie bez nadziei utrzymania jej przy życiu — kule utkwiły gdzieś w jamie brzusznej. („Echa Płockie i Łomżyńskie” nr 24 z 14 XI 1900 r.)

nieszczęsna Królka

Instigator (oskarżyciel publiczny, prokurator), urodzony (szlachcic) JMPan Wacław Jeziorkowski, poborca ziemi wiskiej, proponował skargę przed sądem lantwójtowskim, na poddankę potomków JMPana Adama Jeziorkowskiego, na imię Barbarę Królkę, która zapomniawszy Boiaźni Bożej y surowości prawa, mnie samego oczarowała y dobytek mój we dworze, która mi zdrowia wiele odjęła, y aby się przyznała, kto iey to kazał mnie oczarować, a mnie te czary odczyniła.”

Królka przed sądem dobrowolnie nie chciała się przyznać, przeto urząd lantwójtowski „kazał ją ekzekutorowi na confessatę (przesłuchanie) wziąć y ogniem palić, żeby się przyznała do tego uczynku, który poczyniła. Gdy była na torturach palona, przez ekzekutora ta Królka raz y drugi, aż za trzecim razem powiedziała. Zem JMP Wacława Jeziorkowskiego y małżonkę IMPana Ignacego, miecznika wiskiego, oczarowała ni iterum atque iterum” (wielekroć).

Po kolejnych torturach wyznała również, że oczarowała pana Wacława, żeby jej nie bił i zapisał „wszystko mało y wiele”. W czasie tych czarów zakopała szkapia głowę pod chlewem y przymiłowiona, powiedziała też, kiedy spał JMP Wacław, tedy y rękoma, przykrywała y skorupem nad nim, a koszule poczoną brała na tęsknicie zadanie [...].

Potem pytana była wiele jest czarownic w Jeziorku, powiedziała, że Piotrowa Nowaczka, w Kownatach wójtowa, stara Stańkowa, bo rosę ze mną brała y krowy kropiła, gdyśmy mleka od nich odbierali. Powiedziała też są czarownice, w Łomży jedna Surminowa szewcowa, była starszą nad nimi; u Białego Kamienia za Kolnem, w polu, gdzieśmy się żatowali, powiedziała też: y w Czarnocinie, jedna Sobotczyzna Jędrzeiowa, w Łubach Pęska stara wdowa czarownica, w Janczewie u JMPana pisarza Janczewskiego powiedziała, że Pszenicznyn stara Katarzyna.

Będąc na ostatniej torturze powiedziała, że ja biorę wszystkich na duszę swoją. Urząd Landwójtowski, wysłuchawszy iey confessata, nakazał dekretem na śmierć, aby była ogniem spalona.”

(Działo się to w roku 1664)

walczyk spod Wizny

W stodole na kole, na poklepisku, nie umiał całować, dostał po pysku. O widzisz, durniu, jak ona bije, Nie umiesz całować, nie bierz za szyję.

(„Literatura Ludowa” nr 4-6 z 1962 r.)

rozwiązanie zagadki z nr 9(124)

Zygmunt Zwierzchowski, dowódca chorągwi husarskiej, która rozpoczęła szarżę jazdy polskiej pod Wiedniem (12 września 1983 r.), był podkomorzym łomżyńskim.

Nagrodę za prawidłowe rozwiązanie otrzymał mjr Franciszek Kondratowicz z Łomży.

wiżniana pod redakcją Adama Dobrońskiego